Nr. 5. Poznań, dnia 3 Lutego 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 39. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Od roku 1903 — 1907.

Nie całe cztery lata. Dla historyka czas może za krótki, by mu miał nadać miano osobnej epoki. Polityk nie tylko taki czas krótki poddawać musi badaniu — ale musi to czynić i czyni zawsze od wypadku do wypadku.

A mamy tutaj dwa okresy czasu, które jakoby dwa słupy graniczne dzielą kilka lat od siebie — r. 1903 i ówczesne wybory do parlamentu i r. 1907, t. j. obecnie ukończone wybory.

Przypomnijmy sobie po krótce najważniejsze wypadki wyborów z r. 1903.

Do walki o mandaty poselskie, a więc do walki o prawo i możność zastępowania interesów ludności polskiej zaboru pruskiego wystąpiła t. zw. partya ludowa.

O co chodziło? Chodziło przedewszystkiem o zadanie *ostatniego ciosu* t. zw. polityce ugodowej. Pod tem hasłem partya ludowa wyparła pp. Cegielskiego i Dziembowskiego z parlamentu, hr. Hektora Kwileckiego — a za nimi poszedł i ks. Zdzisław Czartoryski. Pan Józef Kościelski w r. 1903 tak samo jak obecnie nie kruszył kopii o mandat dla siebie.

Do parlamentu weszli wówczas ze społeczeństwa polskiego ludzie „nowi" — hr. M. Mielżyński, dr. Alfred Chłapowski i dr. W. Skarżyński jako przedstawiciele nowej t. zw. ludowej inaczej „postępowej" polityki — a właściwie przeciwugodowej polityki.

W toku walki „partya ludowa" kandydatom poselskim postawiła kilka postulatów, wychodzących właściwie poza sferę polityczną — więcej osobistych raczej. Postulaty te mają znaczenie narodowe i społeczne zarazem:

Poseł — według żądania partyi ludowej ówczesnej — ma być nie tylko przedstawicielem społeczeństwa polskiego w Berlinie, ale ma być zarazem krzewicielem *politycznej oświaty* wśród szerokich mas ludowych, ma często urządzać wiece, zdawać sprawozdania poselskie, ma — jednem słowem — żyć w ścisłem zespoleniu z ludem, z wyborcami.

Poseł naturalnie ma wszędzie zachowywać swoją godność poselską, ma być wzorem cnót obywatelskich i narodowych — ma być przykładem, godnym naśladowania przez innych.

Co się stało z temi postulatami podczas co dopiero skończonych wyborów?

Podczas całej akcyi wyborczej ani na wiecach ani w prasie nie słyszeliśmy ich — ani ich nie czytaliśmy.

Czyżby o postulatach tych zapomniano?

Nie! — Nie poruszano ich jedynie dla tego, ponieważ nie było już w składzie Koła polskiego do parlamentu z r. 1903—1906 takich posłów, przeciwko którym byłoby potrzeba wysuwać zarzuty, jak to się działo przeciwko posłowi Cegielskiemu szczególnie w r. 1903.

Postulaty te i dziś wśród ludu istnieją. Nie potrzeba ich tylko było używać jako haseł w czasie walki wyborczej.

Mówiąc o wyborach z roku 1903 nie możemy pominąć dwóch faktów, które w następstwie dla ostatnich wyborów naszych miały znaczenie niepomierne.

Mamy tutaj na myśli t. zw. *secesyę* w powiecie *tucholsko-chojnickim* w Zachodnich Prusach i wybory w *katowicko-zabrskiem* na G. Śląsku.

Secesya tucholsko-chojnicka i zwycięstwo p. *Wiktora Kulerskiego* przeciwko kandydatowi t. zw. legalnemu, to znaczy postawionemu przez zachodnio-pruski komitet prowincyonalny miała ten skutek, że naczelna władza wyborcza na Prusy Zach. tym razem bez zastrzeżeń uznała *wolę ludu*.

Tem też tłómaczyć należy fakt, że i przeciwko kandydaturze p. *Jana Brejskiego* w kościersko-wejherowskim okręgu nie urządzano żadnej obstrukcyi, pomimo, że powszechnie znany był sposób, w jaki p. Brejski wyrugował swego poprzednika.

Bodaj najwięcej przełomowe znaczenie miały wybory posła Korfantego w katowicko-zabrskim okręgu. Zbratała się przezeń Wielkopolska ze Śląskiem, oddając Korfantemu mandat sejmowy po ś. p. Józefie Głębockim. A gdy wroga Korfantemu szczególnie partya centrowa unieważnia jego mandat, cały zabór pruski czeka wyniku nowego wyboru z zapartym oddechem. Korfanty zwycięża.

Z faktu tego — przekonany o sile i wielkiem uświadomieniu narodowem ludu górnośląskiego — wysnuwa p. Adam Napieralski, przeciwnik Korfantego i zwolennik polityki pojednawczej z centrum, ten praktyczny wniosek, że należy maskę pojednawczą z twarzy zerwać i stanąć z otwartą przyłbicą do walki z centrum. — Potem następuje rezygnacya posła Królika — p. Adam Napieralski zostaje wybrany w jego miejscu.

Fakt ten nastąpił w sam czas. Napieralski wstępuje w listopadzie 1906 r. do Koła — w grudniu parlament zostaje rozwiązany. Nowe wybory zastały Górny Śląsk zjednoczony zgodnie pod sztandarem narodowym.

Parlament rozwiązany — następują nowe wybory.

I byłaby się akcya wyborcza odbyła prawdopodobnie zupełnie zgodnie, gdyby — przepraszam — gdyby nie strejk szkolny.

Strejk szkolny — tak żądało społeczeństwo od posłów — miał odezwać się głośnem echem w parlamencie.

I stało się to. Ale na plan pierwszy wystąpił poseł, który i tak miru nie posiadał w społeczeństwie. Ks. poseł Jażdżewski według zgodnej opinii spo-

łeczeństwa nie oddał należycie tego „głośnego echa‘‘ strejku w parlamencie.

To stało się bezpośrednim powodem do odebrania mu mandatu poselskiego. Innego atoli wpływu strejk szkolny na wybory nie miał. Po zatem był on silnym motywem agitacyjnym, pobudką do niezadowolenia i do tem liczniejszego udziału w wyborach.

Nie znalazła — i to jest skutek strejku — w społeczeństwie uznania zasada, ażeby „tych samych wybierać posłów, którzy przez opozycyę do rządu wywołali rozwiązanie parlamentu.

Wybory obecne odbyły się daleko zgodniej, aniżeli w r. 1903.

Nie obyło się atoli bez niespodzianek. Były ich dwie: usunięcie kandydatury posła dr. Antoniego Chłapowskiego w *pleszewsko-jarocińsko-wrzesińskiem* — a narzucenie (jeszcze bodaj większa niespodzianka) posła dr. Z. Dziembowskiego okręgowi: inowrocławsko - strzelińsko - mogileńskiemu. Nie obyło się także bez machinacyi w *wyrzysko - szubińskim* przeciwko posłowi Leonowi Czarlińskiemu.

O ile chodzi o względy formalne t. j. o zajęcie stanowiska przez najwyższą władzę wyborczą: walne zebranie delegatów — zaznaczyć trzeba, że walne zebranie delegatów skorzystało w tych wypadkach tylko z przysługujących mu praw. Inna rzecz, gdy chodzi o pytanie, czy zrobiło mądrze i dobrze? Tutaj przypomnieć trzeba wielkie rozgoryczenie, jakie w listach i protestach ujawniło się z powiatów inowrocławskiego i strzelińskiego. Powiaty te z narzuconej sobie kandydatury były niezadowolone i groziły formalną secesyą.

Czy dobrze zrobili delegaci, że uchwałą swoją prowokowali te bądź co bądź przykre rozgoryczenia?

Dziś wybory minęły. Nad faktami temi niezadługo zamknie społeczeństwo swoje akta.

Ale: czy fakta te nie domagają się gruntownego rozejrzenia się w sprawach walnego zebrania delegatów — i w stosunku tego zebrania do okręgów pojedyńczych?

Sądzimy, że należałoby się rozejrzeć w regulaminie wyborczym, a obowiązek rozpatrzenia go spada w pierwszym rzędzie na niezadowolone powiaty.

Tak przedstawia się czas od r. 1903 do 1907 pod względem wyborczym, na tle wypadków odnoszących się do wyborów tak z r. 1903 jak i z r. 1907. Jaka była w tym czasie praca społeczeństwa nad samem sobą?

O tem pomówimy w przyszłym artykule.

Bojownikom polskości — hołd.

Faktem się więc stało, o czem przed kilku laty tylko najśmielsi ze śmiałych marzyli: Górny Śląsk wybrał dziś już czterech posłów Polaków — dla dwóch zaś dalszych jeszcze droga otwarta.

Gdy po dokonaniu wyborów w Niemczech telegram tę wieść mi przyniósł, nie mogłem się oprzeć głębokiemu wzruszeniu. Mimowoli przeniosłem się myślą wstecz o lat kilka, a wspomnienia moje powiodły mnie to ku tym chatom wiejskim rolniczej ludności, to ku tym ubogim mieszkaniom miejskim górników i robotników fabrycznych na Górnym Śląsku, gdziem niegdyś napotkał tyle entuzyazmu, tyle oddania się sprawie, tyle chęci działania...

* * *

Hasło wybierania Polaków na Górnym Śląsku zostało po raz pierwszy rzucone na łamach poznańskiej „Pracy‘‘, w czasie gdym był jej redaktorem na początku roku 1901. Artykuł, zaopatrzony odpowiednią mapką, bardzo wymowną, nadesłany był przez dzisiajszego posła Korfantego, mego uniwersyteckiego kolegę. Artykuł ten wywołał silne echo wśród czytelników naszych na Górnym Śląsku. Otrzymaliśmy kilkanaście listów.

Idea była nowa, była słuszna, pobudzała świadomość narodową: „Praca‘‘ zaczęła jej od tej chwili całkowicie służyć.

W kwietniu 1901 r. ukazał się cały numer, poświęcony wyłącznie tylko sprawie Górnego Śląska. Zaczęło się zgłaszać do nas coraz więcej przyjaciół z Górnego Śląska. W lecie 1901 można było przystąpić do prac organizacyjnych. Chodziło mianowicie o to, aby w każdej miejscowości znaleść odpowiednich mężów zaufania, a z ich pomocą powołać do życia komitety wyborcze. Była to praca, której powodzenie całkowicie zależeć musiało od dzielności i osobistych przymiotów czytelników „Pracy‘‘.

Rezultat przeszedł moje oczekiwania. Na listy odebrałem odpowiedzi tchnące pełną gotowością pracy. Pierwsi stanęli do apelu prości robociarze. Zaledwie jednak rozpoczęliśmy robotę, zaledwie myśl narodowego odrodzenia Śląska zaczynała kiełkować w nieco szerszych grupach, z własnego, polskiego obozu padły na nas ciosy, które zabić mogły budzącą się z wiekowego snu płonkę.

Ks. Jażdżewski, były poseł, wygłosił w r. 1901 mowę, w której w imieniu społeczeństwa polskiego oświadczył, że uznaje prawa centrowców do Górnego Śląska i że cała sprawa górnośląska jest wszczęta przez paru „głodnych‘‘ redaktorów gwoli zdobycia abonentów.

Kto wypowie, jaka rozpacz miotała na wieść o tej mowie tymi, którzy przecież mówili Górnoślązakom: „musicie wstąpić do Koła Polskiego, bo solidarność narodowa tego wymaga‘‘.

I wtedy okazało się, co znaczy potęga wolnego słowa krytyki. „Praca‘‘ wtedy napisała przeciw posłowi ks. Jażdżewskiemu artykuł tak ostry, jakiego nigdy w zaborze pruskim nikt przed tem ani potem nie ogłosił. Spadły na nas za to gromy oburzenia, że polskiego posła wzięliśmy tak na ostrze pióra, ale cel był osiągnięty: Górnoślązacy mieli przed oczyma zadośćuczynienie, — mieli dowód, że gdy o ich świętą sprawę chodzi, nie zawahamy się sięgnąć po każdego z posłów i dać mu naukę taką, jakgdyby był żakiem na szkolnej ławie.

A drugim takim ciosem dla nas było wystąpienie hr. Stanisława Tarnowskiego w Krakowie, który podczas jubileuszu wszechnicy krakowskiej, jako rektor w lecie 1901, miał śmiałość odrzucić ofiarowany krakowskiemu uniwersytetowi przez Górnoślązaków dar honorowy.

Nie zapomnę nigdy łez bólu i goryczy, którem widział na wieść o tem w oczach jednego z mych górnośląskich przyjaciół, prostego górnika. *„Wszak wy nas odtrącacie!‘‘* mówił...

A jam stał przed nim jak winowajca i tylkom w duszy sobie zapisał na wieki, że nasza Polska inną być musi, niż ta, w której imieniem społeczeństwa mogą przemawiać Jażdżewscy i Tarnowscy.

* * *

Wczesną jesienią 1901 r. za zgodą p. Marcina Biedermana, porozumiałem się z Korfantym, którego współudział w całej akcyi był decydującym warunkiem powodzenia. Jako dziecko ludu górnośląskiego, a przytem wymowny tą wymową, która tłumy za sobą porywa, był jakby upatrzony na wysunięcie się na czoło całego ruchu, tembardziej, że wywierał wpływ na grono młodzieży czynne, pracowite, zdolne i pełne zapału. Ja zaś mając wstęp do Prus zamknięty na zawsze, mogłem zawsze

odgrywać tylko rolę pomocniczą, dorywczą, bierną.

W październiku 1901 przeprowadziliśmy urzeczywistnienie dalszego warunku powodzenia: założenie pisma codziennego na Górnym Śląsku, oddanego sprawie wyborów. Był to *„Górnoślązak“*.

Tu następuje długoletnia przerwa przymusowa w mej działalności i wtedy właściwie, gdy trzeba było najwięcej energii i sił — już w niczem ruchowi na Górnym Śląsku pomódz nie mogłem. Ale rzecz, raz zapoczątkowana już i oddana w takie ręce jak Korfantego, poszła swoim torem, choć brakło jednego pomocniczego kółeczka: znaleźli się tacy, którzy je zastąpili z niemniejszym pewnie zapałem, z niemniejszem ukochaniem sprawy.

Rozmyślałem nieraz w samotnych godzinach, oderwany od żywego świata, co się z tą sprawą stanie, jaki los dalszy ją czeka. I oto po paru latach przez mury wysokie i grube przedarła się do mnie wieść radosna *„Korfanty wybrany na Górnym Śląsku!“*

A dziś słyszę radosny głos z oddali. *„Już cztery mandaty nasze — a jeszcze nie wieczór!“*

* * *

W chwili obecnej, w chwili radosnego zwycięstwa sprawy polskiej na Górnym Śląsku obowiązkiem wobec dziejów ojczystych było z mej strony podać te nieznane ogółowi szczegóły i wskazać na tych nieznanych bojowników polskości, którym w pierwszej linii należy się wieniec laurowy na skronie.

Gdy jedni wątpili, inni trwali w obojętności, a inni wręcz szydzili, — gdy wraże moce się sprzysięgły, aby ruch stłumić w zarodku więzieniem, utratą zarobku, wygnaniem, — oni jedni, ci prawdziwi bojownicy polskości, ani na jedną chwilę nie zawahali stanąć na posterunku, gdy do ich serc zapukano w imię najdroższych ideałów Polaka i obywatela.

Garść młodzieży i kilkudziesięciu robotników abonentów „Pracy“ — oto nasze siły, z jakiemi porwano się na to, aby wydrzeć mandaty Prusakom! I wydarto!

I przedewszystkiem podkreślić należy, że tymi bojownikami polskości, wstającej z wiekowego uśpienia, — tymi pionierami ruchu, który ogarnął dziś dziesiątki tysięcy, byli ludzie prości, ludzie z gminu.

My wszyscy, młodzież, pełna zapału i odwagi, myśmy dopiero od tych prostych ludzi się uczyli, co i jak zrobić, aby lud z uśpienia budzić.

I jeśli więc zapytamy, skąd wyszedł ten ożywczy prąd, co setki tysięcy rodaków z Górnego Śląska powrócił cudem na ojczyzny łono, to pierwszym obowiązkiem z naszej strony jest stwierdzić, że ruch ten wyszedł samorodnie, z głębi serca ludu górnośląskiego, z głębi duszy tych robotników, którzy szczerniałemi od pracy rękami pisali do „swej kochanej „Pracy“, że „inaczej musi być na Śląsku, niż jest, bo Śląsk — to też Polska“.

Teraz wy stoicie w cieniu, przyjaciele — wy, coście na pierwszy apel „Pracy“ z gołemi rękami porwali się na to, aby odwalić ten głaz, co od wieków przytłoczył polskość na Górnym Śląsku.

I może nawet nie wiecie, jak wielkiem jest to dzieło, w którem kamień węgielny waszą położony ręką! A dzieło to jest tak wielkie, że cała Polska dziś niem serce sobie rozgrzewa i nadzieję czerpie do wszelkich przejść w przyszłości.

Ale społeczeństwo o was nie zapomni. Nie daje wam żadnych zaszczytów, bo tych nie pragniecie. Z uczuciem spełnionego obowiązku spoglądacie na to dzieło, przy którem dziś setki tysięcy serc polskich pracuje — i myślicie sobie w duchu: jakże to niedawno nas tylko szczupła garstka pracowała!

Społeczeństwo o was nie zapomni. Wasze nazwiska obiły się już nieraz o uszy ogółu polskiego — z okazyi procesów górnośląskich, w których setki stawały przed sądem, aby latami więzienia odpokutować swe przywiązanie dla sprawy ojczystej.

W aktach procesowych, na tablicach więziennych zapisane są wasze imiona trwałemi zgłoskami: bo one należą do rzędu tych, o których wieszcz nasz, w proroczem natchnieniu zwracając się do Polski, napisał:

„I nie zapomnisz Ty o nas, o Święta“.

Kazimierz Rakowski.

„Kultura“ ruska.

Lwów, 27-go stycznia 1907.

Uniwersytet lwowski był we środę, 23 z. m. widownią brutalnego najazdu, jakiego nań dokonali akademicy rusey. Wrzenia na wszechnicy tutejszej nie ustają od r. 1902, ale nie przybrały nigdy tak niemożliwej, brutalnej formy jak obecnie.

Szło o imatrykulacyę. Akt imatrykulacyi, odbywany w języku polskim, jest aktem reprezentacyjnym, świadczącym o polskości naszego uniwersytetu. Rusinom zaś chodzi o to, aby nam wydrzeć nasz dobytek kultury wysokiej, dlatego też, grożąc wszędy, że dążą do odrębnego, własnego uniwersytetu (w czem niby mają im przeszkadzać Polacy), starają się wszelkiemi siłami o utrakwizacyę wszechnicy, co równałoby się wielkiej naszej przegranej, a prowadziłaby do utraty przybytku nauki. Jednym z aktów, któreby zbliżały utrakwizacyę, jest dokonywanie imatrykulacyi w języku ruskim; słuszna zatem, że ani senat akademicki ani młodzież polska nie mogą na to pozwolić.

Imatrykulacya odbywa się na wszechnicy lwowskiej w grudniu. W grudniu zeszłego roku ruscy akademicy zgłosili „zajawu“ tj. złożyli oświadczenie, że, nie rozumiejąc (?) języka polskiego, nie mogą imatrykulować się po polsku. I do imatrykulacyi nie przystąpili. 27. stycznia b. r. miała się odbyć imatrykulacya dodatkowa dla tych, którzy się do poprzedniej nie zgłosili. Na dwa dni przed tem zwołali akademicy ruscy zebranie, celem naradzenia się nad taktyką i zachowaniem przy imatrykulacyi, a nadto celem zastanowienia się nad sposobami „walki o ruski uniwersytet.“ (Przypominamy, że nikt im prawa do własnego uniwersytetu nie odmawia, im samym zaś chodzi o zniszczenie *polskiego* uniwersytetu.)

Nazajutrz, 23. mieliśmy wykonanie „uchwał“.

Oto w tej porze, w której studentów zwykle na wszechnicy jest mało, w południe przyszło około 250 akademików ruskich z planem urządzenia awantury. Wtargnęli do kilku sal, wywaliwszy drzwi, zaczęli wyciągać ławki, stoły i robić barykady. W auli w tym dniu miała się odbyć promocya doktorska trzech studentów, przygotowane więc były togi profesorskie itd. Do auli też szedł sekretarz uniwersytetu, profesor historyi prawa polskieskiego, dr. Alojzy *Winiarz*. Bezbronnego napadli akademicy ruscy z tyłu, tłukąc kijami, pałkami po głowie i plecach, żgając go tępemi narzędziami. Prof. Winiarz padł pod ciosami doznanymi, a napastnicy „odważni“ umknęli i coprędzej poczęli budować ze wszystkich stron barykady, a część poszła „pohulać“ po salach. Zniszczono portrety rektorów uniwersyteckich, pokrajano je nożami i postrzelano, połamano krzesła i fotele, dziurawiono sofy, bito szyby, walono siekierami stoły, — słowem: niszczono, co na drodze zupełnie i bezwzględnie. Ba: w czasie tego napadu iście mongolskiego i barbarzyńskiego znikły dwie puszki ze składkami na Towarzystwo Szkoły Ludowej, znikło pudełko papierosów

znikła czapka scalskinowa prof. Winiarza. Jego, do którego serdeczną nienawiścią dyszą Rusini za męską obronę uniwersytetu przed atakami barbarzyńców — zabrała stacya ratunkowa i odwiozła do domu, gdzie leży. Gdy szalała dzicz po uniwersytecie, rektor dr. Gryziecki wezwał policyę, która po wyjściu bohaterskiej młodzieży z gmachu aresztowała 150 blizko awanturników, gdy reszta uciekła przez okna i ogrody.

Napad na wszechnicę oburzył wszystkich. W sobotę, 25., zamanifestowała licznie zebrana młodzież polska swe uczucia dla Senatu i wyrażała życzenie, że senat akademicki i nadal nie ustąpi przed napastliwością ruską. Rektor Gryziecki oświadczył, że senat wytrwa na stanowisku i nie ulęknie się niczego, nie pozwoli na nic, coby uszczuplało stan posiadania Polaków.

Prasa polska (wyjąwszy socyalistyczny „Naprzód") jednomyślnie potępiła ekscesy ruskie i barbarzyństwo tych, którzy mają pretensye do inteligencyi. Wszyscy zdają sobie jasno sprawę, że tu chodzi o sprawę ogólnonarodową, że Rusini chcą terrorem zniszczyć polską wszechnicę we Lwowie. Wyznał to jawnie jeden z redaktorów pisma ruskiego „Diło", p. Wieńczysław Budzynowski, który powiedział, że to dopiero *początek, że gdy nie pomogą pałki i rewolwery, to pomogą bomby*, że Rusini uniwersytet dostaną wówczas, skoro na uniwersytecie *padną trupy*. I więcej wyznał przewódzca ruski, potwierdzając powszechne zdanie, iż walkę o uniwersytet należy brać, jako jedną z szeregu innych walk, jaką wytaczają Rusini przeciw Polakom. Oto mówił: że gdy na prowincyi niejeden przypomni sobie i pomyśli o burdach na uniwersytecie, to powie, że i przy wyborach należy tych użyć środków. Miła przepowiednia, złowróżąca krew i mord.

— — — — — — — — — — — — —

Twierdzimy, że walka Rusinów o uniwersytet, jest jedynie jednym z przejawów ogólnej walki Rusinów przeciwko Polakom. Sprawę ruską w Galicyi przedstawimy w następnych artykułach, tu tylko przypomnimy prawa, jakie mają Polacy do lwowskiego uniwersytetu.

Uniwersytet lwowski założył Jan Kazimierz w roku 1661. Zatwierdził go August III w r. 1758, a papież Klemens XIII w 1759. Po zaborze pierwszym w roku 1772, gdy Galicya przeszła pod panowanie Austryi, zamieniono go na liceum, ale już w r. 1784 Józef II otworzył z czterema wydziałami. Językiem wykładowym był język łaciński, który za owych czasów Polski był językiem szkolnym. Teologię wykładano po polsku. Wówczas polskiego języka używali nawet Rusini, nie mając własnego dostatecznie wykształconego. W 1787 r. dla lepszego wykształcenia księży ruskich utworzono *ruski* instytut naukowy, gdzie również wykładano po polsku. Dopiero w 1824 roku zaprowadzono niemiecki język wykładowy na wydziale filozoficznym, a w 1848 na wszystkich fakultetach. Okres ten trwał do r. 1879, kiedy to najwyższem rozporządzeniem z dn. 27 kwietnia t. r. uznano język polski za urzędowy i wykładowy.

Nie mniej wolno Rusinom habilitować się i wykładać językiem ruskim. I rzeczywiście jest kilku profesorów Rusinów, którzy po rusku wykładają, ale że jest ich mało ,wina nie leży po stronie Polaków, ale po stronie Rusinów, którzy nie wyzyskują tego prawa, bo nie mają odpowiednich sił naukowych. Rusini mają prawo i słuszność dążyć do samoistnego uniwersytetu, ale dziś jeszcze — przyznał to najwybitniejszy przywódca ruski, poseł Romańczuk, — nie mają sił i powag naukowych. Przecie najpoważniejsze ich pismo naukowe we Lwowie (Literaturno-naukowyj Wistnyk) chromal pod tym względem ciągle, a utrzymywał się dzięki głównie współpracownictwu ludzi z poza Galicyi — póki go do Kijowa nie przeniesiono. Mają Rusini osobne stypendya na wyjazdy naukowe za granicę, ale z nich nikt nie korzysta, bo między nimi kultura duchowa uboga, a cywilizacya w kolebce. I stąd, z niemożności stworzenia osobnej wszechnicy, i z nienawiści do polskiego ośrodka kulturalnego i umysłowego płynie ich chęć do zgniecenia, do zmiecenia tej pochodni, co promienieje polską kulturą.

Na ziemiach Polski mamy dwa uniwersytety: w Krakowie i we Lwowie, gdzie zbiega się młodzież ze wszystkich zaborów po światło i naukę. A tracić jeden z tych posterunków lub pozwalać zachwiewać go w posadach — to samobójstwo narodowe.

H. W.

Nowe hasła.

„Chwila, którą przeżywa obecnie najpoważniejsza liczbą i siłą część narodu polskiego, mianowicie społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, a zwłaszcza ludność Królestwa Polskiego, jest chwilą największej z pewnością doniosłości w porozbiorowych dziejach naszych". Naród znalazł się wobec takich warunków, które kazały mu szukać nowych dróg, wynajdywać nowe hasła. Najpopularniejszem stało się hasło autonomii kraju, samorządu Królestwa Polskiego, które zostało przyjęte przez wszystkie narodowe partye. W szeregu artykułów, na zebraniach i wiecach, w broszurach i książkach dyskutowano nad tą sprawą. Tej też sprawie autonomii poświęca b. poseł do Izby poselskiej w Petersburgu, wybitny polityk ekonomista, Jan Stecki, swe uwagi *). Pośród całej plejady broszur politycznych rzecz p. Steckiego wybija się na plan pierwszy i swemi poglądami i wybitną indywidualnością autora.

W Królestwie dokonywa się przełom. Znamionują go objawy rozprzężenia życia zbiorowego, upadek tego wszystkiego, co uważano za niewzruszalne. Jest to „gruntowny przewrót w pojęciach narodowych, obumieranie dawnego systemu działań politycznych, wykluwanie się nowej myśli, która dawną wypiera i obejmuje po niej rolę pierwiastka, konsolidującego społeczeństwo, a zarazem i siły, tworzącej jego dzieje," jest to przemiana psychiki politycznej społeczeństwa polskiego w tamtym zaborze.

Wszelkie ruchy zbrojne narodu polskiego od powstania Kościuszkowskiego po styczniowe powstanie miały tę samą linię wytyczną: zrzucenie obcego jarzma i odzyskanie niepodległości. Chodziło zawsze o zrealizowanie idei państwowości polskiej, państwowości, w której skład miały wchodzić: królestwo, Litwa, Ruś. Obecnie z powodu zmiany stosunków w Rosyi wysunięto program autonomicznej odrębności Królestwa przy równouprawnieniu żywiołów polskich na Litwie i Rusi. Program przyjął ogół uczuciowo, rozwijano go mało, a dążność do ujęcia go w pewne ramy wskazała, że program ten rozmaicie bywa tłomaczony. Postępowi demokraci ogłosili niezupełny, jedyny, najbardziej szczegółowy i wyczerpujący Koła Polskiego w Petersburgu, który można poniekąd uważać za opinię Demokracyi Narodowej, nie doczekał się ostatecznej redakcyi, nie został też ogłoszony. Jest jeszcze czas do sformułowania takiego programu, jaki odpowiada prawdziwemu interesowi narodowemu, jest jeszcze czas skierować cały ruch autonomiczny na właściwe tory.

Naród, mający swoją odrębną kulturę, tradycye, przeszłość państwową, poczucie odrębności, zmysł życia, wedle swoistych zasad dążyć będzie zawsze do samoistności państwowej, a

*) Jan Stecki: W sprawie autonomii Królestwa Polskiego. Kraków. Gebethner i Sp. 1907. Str. 56.

wszelkie zaprzeczenia temu będą jedynie pobożnem kłamstwem tego, co w duszach mu gra i żyje niezniszczalnie. To jest program dziejowy na lata, a na dziś programem wykonalnym i ziszczalnym jest autonomia Królestwa.

Autonomia może być dwojaka: oparta na unii realnej i autonomia prowincyonalna. Pierwsza jest dziś zawczesna, proces bowiem przetwarzania się państwa rosyjskiego w duchu konstytucyjnym nie może dawać obecnie pewnych, jasno skrystalizowanych poglądów na przyszłość; a skierowywanie myśli politycznych ku zagadnieniom przyszłości nieznanej, a pełnej nieprzewidzianych okoliczności, (czego zresztą jesteśmy świadkami od edyktu konstytucyjnego 30. października 1905.) — jest bodaj czy nie skierowaniem myśli politycznej na manowce, bo odrywa ją od zagadnień chwili bieżącej, od wyzyskania chwili bieżącej.

P. Stecki jest zwolennikiem autonomii prowincyonalnej, jako najuchwytniejszej, jako najbardziej odpowiedniej do zrealizowania w dobie obecnej. Autonomia prowincyonalna dawałaby możność Sejmowi warszawskiemu wykonywania tego, co zastrzeżone zostanie w ustawie nadającej samorząd krajowi, a władze krajowe wykonywują czynność w zakresie spraw, objętych kompetencyą Sejmu i poruczonych im przez władze centralne. Monarcha sankcyonuje uchwały sejmu warszawskiego, o ile się z uchwałą nie godzi odsyła ją do parlamentu petersburskiego; władze krajowe i namiestnika mianuje panujący pierwsze na przedstawienie prezesa ministrów rosyjskich; w gronie ministeryalnem zasiada również, przedstawiciel Królestwa Polskiego, minister-Polak, źródła dochodów pewne i podatki przekazuje się częściowo krajowi, a zresztą rządowi centralnemu z tem zastrzeżeniem, iż użyte mają być na cele krajowe.

Broszura p. Steckiego, dotykająca najistotniejszych zagadnień polityki narodowej w zaborze rosyjskim, stała się przedmiotem obrad i dyskusyi. Autor stawia program minimalny, program obecnego ducha. Projekt jego autonomii pod bardzo wieloma względami przypomina samorząd Galicyi, samorząd — nawiasowo mówiąc— należycie niewyzyskany. Oczywista, że na stanowisko p. Steckiego, jako na program polityki narodowej, godzić się nie można, o ile miałby zaspokajać najistotniejsze a najgłębsze dążenia narodowe.

Stanowisko, jakie zajął p. Stecki wobec zagadnień doby obecnej jest stanowiskiem polityka głęboko patrzącego, zdającego sobie dostatecznie sprawę z wspólnych nici, wiążących Rosyę z Prusami. Prusy bowiem, czego dały w ostatnich czasach liczne dowody, użyłyby wszelkich środków, wszelkich dróg, by nie dopuścić do autonomii realnej, autonomii tego rodzaju, jaką mają Węgry wobec Austryi, nie pozwoliłyby na powstanie zaczątków państwa polskiego.

Jakkolwiek na rzecz patrzeć będziemy, to jedno stanie się jasnem, że kwestya polska bynajmniej nie zeszła z myśli politycznej, że ona zaprząta i zaprzątać będzie póty umysły wszystkich kierowników państw europejskich, póki nie zostanie załatwiona w sposób, który narodowi polskiemu da należne pole do rozwoju sił swoich tak gospodarczych, jak intelektualnych.

H. W.

Tydzień polityczny.

Żyjemy wciąż jeszcze w gorączce wyborczej. Zaledwie bowiem skończyła się główna batalia — nastąpią wkrótce, bo już dnia 5-go lutego poszczególne utarczki.

W utarczkach tych i my Polacy brać będziemy udział — i to na nasze stosunki bardzo znaczny. Niemniej jak w 5-ciu okręgach Polacy walczyć mają o palmę zwycięstwa z wrogami polskości.

Długie godziny wahań, obaw i nadziei wywołał okręg wąbrzesko-toruński. Ks. Bolt przeszedł — ks. Bolt nie przeszedł — ks. Bolt przyjdzie do ściślejszych wyborów; oto wiadomości, jakie z Torunia nadbiegały do Poznania.

Skąd te niepewności? donoszono, że władze trzymały rezultat wyborów w ukryciu z powodu urodzin cesarskich. Podobno cesarz bardzo interesuje się tym okręgiem i chce widzieć w mieście Toruniu, który jest fortecą — „ein Bollwerk des Deutschtums in der Ostmark“ — przedmurze niemczyzny na kresach wschodnich.

Więc — nie chciano cesarzowi psuć humoru w tak uroczystym dniu. No przecież — ks. Bolt przeszedł — powtarzano sobie jeszcze w poniedziałek — we wtorek wierzono jeszcze święcie, że tak jest, aż tu w środę nadchodzą wieści: ks. Bolt *przepadł.*

Wielkie rozczarowanie — ale i równocześnie rozgoryczenie: dlaczego? — czemu przepadł? Pytania te rozjaśni najbliższa przyszłość. Tu o nich jeszcze nie piszemy, nie chcąc robić niesłusznych ew. zarzutów na podstawie samych pozorów i poszlak.

Istotnie okręg toruńsko-wąbrzeski straciliśmy. Klęskę tę wyrównuje zwycięstwo w świeckiem — i ściślejsze wybory w grudziądzkiem wraz z uprawnioną nadzieją, że go pozyskamy.

Najwięcej nadziei zwróconych jest na G. Śląsk, gdzie mamy jeszcze dwa okręgi do pozyskania: gliwicki i kozielski.

Wobec liczby 19 posłów i możności powiększenia tej liczby do 22 trudno się oprzeć pewnemu uczuciu dumy i zadowolenia. To chwila zapomnienia ucisku naszego — bo taki rezultat wyborów pokazuje nam dowodnie, jak wielki moralny zysk dla sprawy naszej płynie z wrogiego nam ucisku.

Jest to chwila, w której na doprawdę kpić sobie możemy z ślepoty i krótkowidztwa wrogów naszych. *Oni* — chcą nas przez ucisk zdławić, *my* pod tym uciskiem rośniemy. To dość na osądzenie politycznego rozumu wrogów naszych.

A w Niemczech? Jeszcze w ostatnim numerze oświadczyliśmy wyraźnie, jak bardzo jesteśmy przeciwni temu, żeby lud polski głosy swoje oddawał socyalistom. Chodziło tu o głosy polskie w kraju, tu gdzie chodzi o wybór naszych własnych posłów.

To jednak nie przeszkadza nam, wypowiedzieć szczerze i otwarcie żalu z tego powodu, że *socyaliści* stracili już kilka krzeseł poselskich. Boli nas ta strata dla tego, że dotyczy ona parlamentarnego sojusznika Koła polskiego, a jeszcze więcej dla tego, że zdaje się ona oznaczać odwrót ludności niemieckiej od haseł radykalnych wogóle. Zdaje się, że i nowe podatki i skandale kolonialne na niezadowolenie Michałka niemieckiego żadnego nie wywarły wrażenia. Wdzięczny to widocznie osiołek, który chętnie czci pana swego, a choć baty i cięgi odbiera, jednak nie ma odwagi, śmiałym skokiem pana swego zrzucić.

Dummer Michel.

Na grzbiecie socyalistów wejdą do parlamentu — postępowcy, wolnomyślni i liberałowie. A choć dziś jeszcze praktyczny stan przyszłego parlamentu nie da się określić, to zdaje się bądź co bądź jedno być pewnem, że: rząd na swoje usługi będzie miał większość wtenczas, gdy będzie żądał uchwał dotyczących powiększenia wojska, marynarki, i do dalszego prowadzenia zamorskiej polityki kolonialnej. Nie będzie atoli miał większości dla uchwał mających na celu n. p. okrojenie swobody prasy, okrojenie praw robotni-

czych, zmiany konstytucyi Rzeszy i t. p.

Nowy parlament będzie więc patryotyczniejszy — ale nie będzie mniej postępowy od poprzedniego.

Z wyborów centrum wejdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa w takiej samej sile do parlamentu jak za ostatnim razem.

I to stanowi właściwie klęskę rządu. Rozwiązanie bowiem parlamentu miało osłabić centrum i dać rządowi więcej swobody działania. To się nie stanie.

Ciekawi jesteśmy, jakie wrażenie wybory te wywrą w zagranicy. Lecz o tem w przyszłym numerze.

Przegląd prasy.

Tryumf ludności polskiej z powodu zwycięstwa nie zna granic. Rozmiary zwycięstwa faktyczne na razie trudno jeszcze obliczyć. Wiemy tylko, że mamy 19 posłów, że 11 przeprowadziło Księstwo — stary stan posiadania, że 4 będzie z Prus Zach. — jeden nowo zdobyty — i 4 z G. Śląska. Tych czterech musimy prawie wszystkich uważać za nowo zdobytych. G. Śląsk przechodzi dopiero polski chrzest wyborczy — że odtąd stale do nas będzie należał, o tem nie wątpimy.

Istotnie największa radość panuje z powodu zwycięstwa na G. Śląsku.

„Lata całe — pisał przed wyborami *„Górnoślązak“* — czekaliśmy Polacy na Śląsku na to, ażeby nasi *księża* stanęli politycznie po stronie polskiego ludu. Tegośmy się teraz doczekali ku wielkiej naszej radości.“

Ale czy też wybrani zostaną? — pytano z obawą w sercu.

I zostali wybrani.

To też nie dziw, że zapanowała w chwili zwycięstwa wśród nas wielka radość, której wyraz dał *„Polak,“* sławiąc lud polski, że

„w dzień 25-ty stycznia dał rządowi i hakatystom odpowiedź należytą, odpowiedź taką, na jaką sobie zasłużyli za krzywdy nasze.

„Przeszło 120 000 głosów padło na kandydatów polskich na Górnym Śląsku a jest to wymowny policzek i dla hakaty i dla systemu pruskiego, pod którym jęczymy.“

„A w jakich warunkach lud polski musiał walczyć. Nacisk ze strony hakatystycznych pracodawców był niesłychany a przypominał chyba jedynie nacisk rządowców podczas walki kulturnej. Wszyscy Niemcy przeciwko nam się połączyli. Tu Niemiec, tam Polak! takie były szeregi walczących. Szli wszyscy przeciwko nam. Nawet ci, co potępiają politykę antypolską, tak zwani wolnomyślni, co to udają przyjaciół robotników naszych, nawet ci agitowali zapamiętale za kandydatami hakatystycznymi. Cały rządowy aparat działał na korzyść kandydatów hakatystycznych. Dyrektorzy kopalń i hut, urzędnicy wszelkiego rodzaju bądź to pogróżkami, bądź to obietnicami starali się przeciągnąć robotników polskich na swoją stronę.“

Tem większa sława ludowi polskiemu na G. Śląsku, że te trudności przezwyciężył.

„Zwycięstwo polskiej partyi — piszą *„Nowiny Raciborskie,“* ma tem większe znaczenie, że nasi kandydaci zwyciężyli *ogromną większością głosów*. I tak p. Napieralski w Bytomskiem przeszedł większością około 5000 głosów, tak samo ks. Brandys w Opolskiem i ks. Skowroński w Rybnickiem, chociaż ich nawet niektórzy księża centrowi odsądzali od czci i wiary i porównywali z Judaszem. Kandydat centrowy w okręgu rybnicko-pszczyńskim ks. prob. Loss z Pawłowic otrzymał *3196* głosów, podczas gdy *ks. Skowroński* miał *19,920*, a więc *16 tys. więcej*.“

Tem samem klęska centrum na G. Śląsku stała się zupełną. Kwestya utraty reszty mandatów górnośląskich jest tylko kwestyą czasu. Toż istnieje uprawniona nadzieja, że w ściślejszych wyborach d. 5 lutego wybrany zostanie i ks. Jankowski w okręgu gliwickim i p. Siemianowski, redaktor, w okręgu kozielsko-strzeleckim.

A nawet w okręgu kluczborskim uzyskał ks. Rogowski przeszło 5000 głosów.

To też jasną dziś jest rzeczą, że Śląsk dziś nie tylko jest polski — ale dał świadectwo swojej polskości tak jawne i głośne, że z tego cała Polska jak długa i szeroka tylko cieszyć się może, zapominając wściekłych napaści i ujadań wrogów naszych.

Istotnie też radość w całej Polsce panuje z tego powodu. Z powodzi głosów — wszystkich barw i odcieni — podajemy tutaj jako wyraz tej powszechnej radości głos „Gońca Porannego“ warszawskiego który z powodu zwycięstwa na G. Śląsku tak pisze:

„Proces dziejowy, którego pierwociny sięgają czasów *Karola Miarki,* który lata całe rozwijał się i dojrzewał niepostrzeżenie dla swoich i dla obcych nie bez dobroczynnego współudziału *Ad. Napieralskiego,* a który ujawnił właściwą swą fizyognomię dopiero za sprawą młodzieży wszechpolskiej zaledwie przed paru laty, — ten niesłychanie doniosły dla przyszłości naszej rasy proces budzenia się ludu śląskiego do życia, jako czynnej siły polskości, dziś sięga poniekąd swej mety.

„Śląsk Górny przestaje od dziś być martwym przedmiotem wyzysku pruskiego i nigdy nieutulonego żalu dynastyi Habsburgów; z biernego objektu germanizacyi staje się czynną politycznie cząstką Polski, wzmacniając silnie nasz front zachodni przez wytworzenie łączności pomiędzy żywiołem polskim Ks. Poznańskiego i Galicyi Zachodniej.

„Wybory piątkowe na Śląsku, to najradośniejsze wydarzenie ostatnich czasów w dziejach Polski, bardziej może radosne, niż nawet wypowiedzenie się ludu wiejskiego na terenie Królestwa w całej swojej masie bez zastrzeżeń za programem polityki narodowej. Mają one wielkie znaczenie moralne przedewszystkiem dla braci naszych w zaborze pruskim, jako zachętę do wytrwania w ich ciężkiej walce z przemożnym wrogiem o podstawy narodowego bytu. Nie bez wpływu będą one i na politykę, wzmacniając szczupłe kadry Koła Polskiego o kilku posłów, których obecność na ławach znienawidzonego przez rząd pruski klubu, będzie dobrem świadectwem „owocności“ dotychczasowych wysiłków hakatyzmu złamania żywiołu polskiego.

„Przebudzenie się Śląska i szybki rozwój w masach ludu tej prastarej dzielnicy piastowskiej ruchu narodowego, mogły być dokonane jedynie za sprawą prądu tej żywotności i tej siły, co zniesławiany przez wielu kierunek wszechpolski. Zuchwały ton wzgardy dla kultury niemieckiej, hasło jedności i walki o lepsze jutro, pierwiastek dumy narodowej, bezinteresowne uczucie patryotyzmu — one to pociągnęły młodzież śląską w szeregi wszech-Polaków i otworzyły następnie dla polskiej idei narodowej, także serca ludu tej dzielnicy.

„Goniec“ nie zapomina o tych czynnikach, które odrodzenie G. Śląska przygotowały. Więc jest tam Karol Miarka, jest obok niego Adam Napieralski — jest wreszcie i ta młodzież polska, która śmiałym głosem wydała nie tak dawno hasło: precz z Centrum z G. Śląska.

I ta młodzież i owo hasło miało pierwotnie dużo wrogów. Dziś znienawidzona młodzież „wszechpolska“ zmieniła się w realnych polityków *demokratyczno-narodowych* — a co ważniejsza: z G. Śląska centrum idzie precz.

Wypadki dają racyę politykom. Tym razem dały tę racyę — młodzieży *wszechpolskiej* alias demokratyczno-narodowej.

Nie możemy przy tej okazyi pominąć objawu, mającego bądź co bądź z polskością pewną styczność.

Istnieje na G. Śląsku *„Gazeta Katolicka“* centrowa, głosząca, że i ona broni polskości. A oto w chwili polskiego zwycięstwa ta „Gazeta Katolicka“ nie „zapomina“ o najwyższym swym obowiązku: pobłogosławienia cesarza Wilhelma II w dniu urodzin.

Czy to także konieczny objaw polskości „Gazety Katolickiej,“ to pozwalamy osądzić czytelnikom naszym.

Co i jak czytać?

(Powieści historyczne).

U nas powieści historyczne mało były znane szerszym kołom czytelników. Dla więcej wykształconych za mało były może historycznie wierne, i literacko wykwintne, dla mniej wykształconych za mało sensacyjne.

Przedstawiały tylko pewną wartość dla ludzi nauki, dla badaczy przeszłości.

Dopiero, gdy genialne pióro Sienkiewicza w szeregu przepięknych, wspaniałych obrazów odtworzyło pamiętne chwile przeszłości i wskrzesiło bohaterskie postacie naszych Czarnieckich, Kordeckich i owych rycerzy bez nagany i trwogi jak Skrzetuski, Wołodyjowski, Kmicic, — wtedy dopiero zrozumieliśmy, czem może być powieść historyczna.

Nietylko interesującą lekturą, ale „pokrzepieniem serc“, głosem obowiązku i narodową ewangelią.

To też utwory te w krótkim czasie zostały w całem znaczeniu duchową własnością narodu. Zostały zrozumiane i odczute przez wszystkich! W tem leży niespożyta zasługa i zarazem najwyższy tryumf autora. Czyta je wykształcony i znajduje w nich rozkosz estetyczną i ogromną patryotyczną podnietę. Czyta kupiec i przemysłowiec i rzemieślnik i oczywiście jako nieobeznany z historyą nie od razu oryentuje się w toku zdarzeń, lecz bezpośrednio ulega urokowi mistrzowskiego przedstawienia danej chwili i rozumie, że ten głos przeszłości przemawiający doń z każdej karty jest dla niego głęboką nauką i pociechą zarazem.

Losy pojedyńczych osób, czyli jak się mówi bohaterów powieści, którzy w powieściach Sienkiewicza są rzeczywistymi bohaterami, nie występują nigdy na pierwszy plan, nie pochłaniają nigdy całkowicie uwagi czytelnika, lecz wplecione nierozerwalnie w łańcuch wielkich wypadków zmuszają go koniecznie, aby myśl i serce rozszerzył w miarę szerokich horyzontów, zakreślonych przez autora.

Więc i kobieta w powieściach Sienkiewicza nie jest „puchem marnym“, ani „demonem“ ani pieszczotą, ani kwiatem lub motylem, jest przedewszystkiem — obywatelką. Autor maluje niewiastę współczesną w prostych posągowych liniach, jak czystą i nieskomplikowaną była jej dusza w swej „katechizmowej“ prostocie.

Wierzyć mocno, kochać stale i wiernie, a w każdej chwili być gotową do całopalnej ofiary na ołtarzu miłości ojczyzny — oto cała charakterystyka ówczesnej kochanki, żony i matki. Choć „zabrała w jasyr *) serce rycerza, wiedziała dobrze i Oleńka i Basia, że w tem sercu panuje wszechwładnie miłość ojczyzny, której każde inne kochanie ustąpić powinno.

Takimi są wszyscy bohaterzy powieści Sienkiewicza, kobiety i mężczyźni. Więc czytelnik śledząc gorączkowo ich bohaterskie wysiłki, ich niebotyczne porywy, czyszczcowe udręczenia i nadzwyczajne czyny, które ich wiodą „ku zwycięstwu, ku zasłudze, ku chwale, ku nieśmiertelności“ — zostaje porwany zapałem owych niezwalczonych rycerzy i duchem jak najściślej z nimi zespolony.

M. G.

W obronie wojska pruskiego.

Bywają rzeczy nietykalne, jak wiatr, powietrze. A jednak służą one dla dobra ludzkiego. Bez powietrza nie moglibyśmy żyć — bez wiatru osuszającego i orzeźwiającego wśród znojnego lata trudno byłoby się ludziom obyć.

Ale są i inne rzeczy nietykalne jak n. p. ogień. Kto w ogień włoży rękę swoją — sparzy się.

Są jednak i inne rzeczy nietykalne, a mianowicie wojsko pruskie — i władze wykonawcze: n. p. policya, regencya, ministrowie — no i naturalnie najwyższa osoba w kraju, t. j. król.

Ale król nawet, przekonawszy się, że liczne procesy o obrazę majestatu tylko gorycz sieją i niezadowolenie, obwieścił wszemu narodowi, że sądy nie mają ścigać tych, o którychby się przekonały, że nie obraziły majestatu jego ze złej woli, lecz przez nieświadomość.

Kto jednakże obrazi, nie! kto w ujemny sposób ośmieli się krytykować wojsko lub policyę, dla tego przeznaczają sądy: grzywny i więzienia.

Prawdę tę na własnej skórze odczuł redaktor „Pracy“, p. *Idzi Świtała.* Za obrazę komisarza policyjnego Madera skazany został na 70 mk. kary — a za obrazę wojska

na dwa miesiące więzienia.

Grzywna i więzienie podyktowane redaktorowi polskiemu mają ratować honor komisarza i honor wojska.

* Jasyr wyraz turecki, oznaczający niewolę.

Dobrze! — lecz czemu?

Znany wypadek w Zabrzu na Górnym Śląsku. Komisarz policyjny Mader wydziela z procesyi „Towarzystwo Młodzieży katolickiej“ na rozkaz ks. prob. Schoeneicha.

Czy miał prawo? Jako członkowi władzy wykonawczej pruskiej wiadomem mu być powinno było, że procesye na podstawie prawa o stowarzyszeniach nie podlegają kontroli policyi. Nie powinien więc był rozpędzać towarzystwa. Była to rzecz księdza.

Ale policya a centrum (a ks. prob. Schoeneich jest centrowcem i nienawidzi Polaków), to jedno ciało i jedna dusza na Górnym Śląsku, gdy chodzi o zwalczanie ruchu polskiego.

Ksiądz kazał — *policyant* usłużny towarzystwo wypędził z procesyi — a biedni redaktorzy, którzy niestósowność tego postępowania wykazują — albo wędrują do kozy, albo płacą solne kary pieniężne.

Więcej nietykalnem od policyi jest — wojsko pruskie. Piszemy wyraźnie *pruskie,* bo artykuł nasz z nr. 43 pod tyt.: bałwochwalstwo munduru pruskiego — także o pruskiem tylko pisał wojsku. Dobrze więc, niech będzie i teraz o wojsku pruskiem, a może saskie, bawarskie, würtemberskie i jak jeszcze się zowią te księstewka, posiadające własne armie — lepsze są od pruskiej: nie tak dumne i nie tak niedostępne — jak pruskie.

To bowiem było podstawą owego artykułu, że w Prusiech wojsko tworzy odrębną uprzywilejowaną kastę, że wojsko pruskie — nam nie wiadomo na podstawie jakich zasług — wynosi się po nad resztę niewojskowego obywatelstwa.

Ale — uwagi te połączone były z wypadkiem *w Koepenik!* Otóż to tłomaczy całkowicie postępowanie władz wojskowych. Albowiem sam p. minister wojny podał wniosek o oskarżenie redaktora „Pracy!“ Naturalnie — wniosek taki, to więcej aniżeli samo życzenie! Trzeba dać przykładną karę.

Nie dziw więc, że wobec tego, sąd uważał wniosek prokuratora o 1 miesiąc kary za niedostateczny, i że wydał wyrok na 2 miesiące, bo artykuł „Pracy“ zaszkodził armii pruskiej, tej ostoi potęgi pruskiej — na honorze.

Czyżby artykuł „Pracy“ nie miał czasami zaszkodzić nie tylko honorowi ale i potędze tej ostoi samej?

Trudno, armia pruska jest nietykalna — przynajmniej dla redaktorów polskich.

Niemieckie pisma — poważne i humorystyczne — beczki całe farby użyły na opisy „wypadku w Koepenik“.

„kapitana z Koepenik“ i jak wszystkie owe sensacyjne tytuły ich artykułów brzmiały. „Praca“ — mówię i piszę — jeden jedyny artykuł napisała, a redaktor jej za niego powędruje na 2 miesiące (!) do kozy.

Postępowanie sądu nie może zadziwić. Honor armii pruskiej od roku 1870/71 tak błyszczy, że nie może pozostać na nim ani plamka — choćby zadana w Koepenik, a opisana w „Pracy“. Tego honor armii pruskiej, tego obowiązkowość żadnego sędziego pruskiego nie znosi.

My zaś wyrok przyjmujemy w spokoju, a dwa miesiące utraconej wolności redaktora naszego ofiarujemy jako wonne kadzidło na odczyszczenie tej plamy, która nie z naszej woli i chęci spadła z okazyi Koepeniku na honor pruskiej armii.

W sprawie związków zawodowych.

Pomiędzy wnioskami, które z powodu przedwczesnego rozwiązania parlamentu niemieckiego załatwione nie zostały i dla tego w przyszłej kadencyi ponownie przedłożone i przedyskutowane być winny, znajduje się także projekt w sprawie związków zawodowych; chodzi tutaj przedewszystkiem o kwestyą bardzo ważną, bo o przyznanie tymże związkom praw osoby jurystycznej, przez co znaczenie ich nie małoby się podniosło.

Obecnie bowiem organizacye te praw żadnych nie posiadają, nie wolno im np. nabywać własności realnych, zapisywać swych praw w księdze gruntowej, nie mogą mieć pretensyi i długów, nie mogą nikogo skarżyć. To wszystko zmieniłoby się w razie przyjścia do skutku rzeczonej ustawy. Wprawdzie z drugiej strony są osoby jurystyczne także *odpowiedzialne* za czyny niedozwolone, za szkody wyrządzone, i podlegają egzekucyi, wzrosłaby więc także, o co głównie przedsiębiorcom chodzi, odpowiedzialność związków zawodowych za wszelkie czynności Zarządu, za ew. szkody np. przez strajki spowodowane, lecz ta właśnie okoliczność przyczyniłaby się do tego, że kierownicy związków staliby się ostrożniejszymi, nie wywoływaliby niepotrzebnie bezrobocia, starąc się żywioły radykalne od wpływów usunąć i na drodze polubowej o ile możności wszelkie zatargi z pracodawcami załatwić. W ogóle stosunek pracowników do przedsiębiorców zmieniłby się znacznie; ci ostatni musieliby uznać w związkach rzeczywistych przedstawicieli robotników i zgodzić się na to, by na życzenie wszelkie rokowania i układy co do polepszenia warunków pracy i płacy toczyły się wyłącznie z Zarządami związków lub upoważnionymi do tego zastępcami, a nie z poszczególnymi robotnikami; obecnie bowiem nie chcą pracodawcy zwykle wdawać się w układy z żadnemi organzacyami zawodowemi, lecz tylko z poszczególnymi robotnikami, którzy oczywiście na tem gorzej wychodzą, gdyż jednostki są za słabe w obec potężnego kapitalisty, aby wymódz na nim jakieś lepsze warunki, a „gromada to wielki człowiek“, nie da się zatem tak łatwo wyzyskać. Układy kolektywne zawiera się coprawda już i teraz, lecz tylko tu i owdzie, przedewszystkiem organizacyi pomocników drukarskich, najsilniejszej z wszystkich w Niemczech istniejących, udało się w ten sposób uzyskać znaczne ustępstwa.

Niekorzystną stroną nadania prawodzielności związkom zawodowym jest to, że mogą one być pociągnięte do płacenia podatków; szczególniej ma rząd na oku organizacye socyalistyczne, rozporządzające wielkiemi kapitałami, o wielkości których chciano by się chętnie dowiedzieć.

Dalszem ujemnem następstwem projektu jest, jak już wspomniałem, i to, że odpowiedzialność tak Zarządów jak i związków samych się zwiększy, przez co zostanie poniekąd skasowany § 152 dotychczasowej ustawy procederowej, opiewający, że wszelkie zakazy i przepisy karne, wydane przeciwko robotnikom, czeladnikom etc. za zmowy i zjednoczenia się w celu poprawy warunków pracy i płacy, szczególniej przez *składanie pracy* zostają zniesione. Nie trudno bowiem będzie przedsiębiorcom, udowodnić w każdym przypadku, że z powodu zawieszenia pracy ze strony robotników narażeni zostali na wielką stratę, i sądownie zaczną dochodzić swych pretensyi. A jeden proces przegrany może pozbawić kasę towarzystwa całego majątku, mozolnie prze składki członków zebranego. — Znamiennem jest, że w Anglii, gdzie obecnie także radzą nad zniesieniem ustawy o związkach zawodowych, ma być właśnie zdjętą z organizacyi tych odpowiedzialność za szkody, z walk robotniczych wynikające.

Nadmienić w końcu wypada, że projektowana dla Rzeszy Niemieckiej ustawa odnosi się jedynie do robotników, zatrudnionych w rolnictwie (tym ostatnim nie wolno wogóle tworzyć stowarzyszeń w celu uzyskania lepszych warunków pracy), natomiast przypuszczać należy, że projekt, o ile zostanie przyjętym, obejmie także stowarzyszenia pomocników handlowych.

T. A.

Lokauty za granicą.

Lokaut łódzki, o którym obszernie pisała „Praca“ w numerze poprzednim, zwrócił uwagę na podobne postępowanie fabrykantów z robotnikami i w innych krajach. Istotnie rozgrywają się obecnie dwa lokauty za granicą, dwa lokauty, to znaczy się dwie walki, w których nie robotnicy lecz fabrykanci występują w roli zaczepnej, wydalając robotników z pracy. I tak mamy obecnie jeden lokaut we Francyi, drugi w Meksyku w Ameryce.

We Francyi, w mieście Fougeres, wskutek częściowego strajku ogłosiło 23 związanych ze sobą fabrykantów obuwia jeszcze 5 listopada lokaut. — Z chwilą tą znalazło się nie 28.000, jak w Łodzi — ale tylko 7.500 robotników bez pracy. Do porozumienia nie dochodziło, mimo że do wielu rodzin robotniczych zaglądnęła ostateczna nędza. Wreszcie po sześciotygodniowem zmaganiu się t. zw. „syndykat żółty“, liczący 200—300 członków, postanowił otworzyć zamknięte tak długo fabryki w dniu 9 stycznia. W obawie rozruchów zebrano 500 żandarmów, w okolicach rozłożono 2—3000 wojska. Nadszedł wreszcie dzień krytyczny, a w szarym jego brzasku już o godz. 5 rano wynurzył się obraz zgoła nieoczekiwany.

Długiemi szeregami pod opieką członków związku robotniczego, odprowadzane przez matki i ojców, szły na dworzec dzieci robotników w liczbie półtora tysiąca, przeznaczone grupami po 200—300 lub mniejszemi do wysyłki na przeżywienie przez czas głodowy strajku w miastach sąsiednich, a nawet dalszych, jak Paryż.

Dzieci, opatrzone żywnością, podążyły na chwilowe przeżywienie do Rennes, do Nantes, do Laval‘u, zaś prawie setka do Paryża.

We wszystkich tych miastach tłumy wyszły na ich powitanie i przyjęcie, gorące, serdeczne i gościnne. Każde dziecko miało na piersiach przypiętą szpilką kartkę z imieniem i nazwiskiem swojem i rodziny, która je przyjąć miała... Odnaleźli się nawzajem poszukujący i poszukiwani...

Wśród szpalerów publiczności szły dzieci czwórkami, śpiewając cienkiemi głosikami „międzynarodówkę“... Wtórowały im tłumy... Wyrzucano w gó-

ry czapki, kapelusze z okrzykami: „Niech żyje Fougeres“, „Niech żyją dzieci robotników“.

I tak szły dziecięta ściskane i całowane po drodze, aż do oczekujących je omnibusów, któremi dostawiono je w Paryżu do gmachu „giełdy pracy“... Tu posadzono je w wielkiej sali u stołów obrusami białemi nakrytych, zastawionych gorącą polewką winną, bułeczkami i ciastkami. Radość wyciskała łzy współczucia obecnym...

Przemówił sekretarz Związku Duberos, przywołując na pamięć nędzę strajkujących i dziękując tym, którzy zgłosili się z pomocą dla dzieci... Wreszcie zabrały je rodziny do domów...

A tymczasem robotnicy — ojcowie ich, matki, bracia i siostry w Fougeres rozpoczęli dzień ciężki, decydujący. Wprost z dworca po pożegnaniu swych dzieci udali się przed fabryki, które miały być otwarte o godzinie 9. Po drodze do fabryk zaszły przemawiania się słowne ze spotykanymi „żółtymi“. Do zamachów nie dopuszczono.

Aresztowano wprawdzie, ale... fabrykanta Dinart'a, który sądząc się zagrożonym, strzelił w tłum z rewolweru, a także członka żółtego syndykatu, Gabouri'ego, też z powodu strzału przedwczesnego, gdy robotnicy łajali i oplewali jego towarzyszy.

Do fabryk weszło, ale tylko 750 robotników, namówionych przez syndykat żółty.

Większość właścicieli otwartych dopiero co 23 fabryk postanowiła napowrót je zamknąć wobec braku robotników.

Drugie bezrobocie lokautowe w fabrykach — przędzalniach w Orizaba w Meksyku — o którem niedawno donosiliśmy — przybrało przebieg gwałtowniejszy z chwilą, gdy prezydent Diax, w roli rozjemcy, wydał wyrok nie do przyjęcia dla robotników.

Gromady ich podpaliły składy wyrobów 53 fabryk. Spłonęły one wraz z budynkami. Straty olbrzymie...

Zmobilizowano wojsko. Robotnicy stawili mu czoło...

Zagrzmiały salwy karabinowe... Padło trupem 30, rannych 80. Na echo tych strzałów powstało nowych 28,000 robotników stanu Vera Cruz do bezrobocia.

Zanosi się na duży rozlew krwi.

Listy od przyjaciół.

Z Londynu, dnia 21-go stycznia 1907.

Pomimo ciemnej mgły, jaka w niedzielę dnia 21-go stycznia zawisła nad Londynem, publiczność polska z wschodniej części miasta, zebrała się licznie w czytelni pozostającej pod opieką pani Pace pod numerem 4-tym na Patriot Square. Na programie była herbata dla dzieci ze szkółki, rozdzielanie podarków, oraz przedstawienie teatralne, mające być odegrane przez małoletnich amatorów. Po obfitym podwieczorku pani Pace obdarowała każde z dzieci pięknym podarkiem gwiazdkowym, a tymczasem sala zapełniła się coraz liczniej przybywającymi gośćmi i o siódmej godzinie na zaimprowizowanej scenie podniosła się kurtyna.

Przedstawienie poprzedziło odśpiewanie kolend zwykle używanych na Boże Narodzenie, poczem dzieci odegrały bardzo wdzięcznie „Powrót Taty“, sztukę osnutą na tle wiersza pod tym samym tytułem Adama Mickiewicza. Z kolei nastąpiło kilka mniejszych teatralnych sztuczek i deklamacyi. Po skończonem przedstawieniu pan doktór Sobkowski przemawiał jak zwykle w gorących i serdecznych słowach do zgromadzonych. Z okazyi rocznicy powstania z 1863-go roku napominał, aby każdy z nas przechował w sercu uczucia narodowe i aby miłość do Ojczyzny pozostała niezmienną w naszych duszach. Na tem zebraniu byli obecni pomiędzy innemi, panna Biggs, która jak to już dawniej było wspomniane w jednej z korespondencyi, przejęta jest prawdziwem współczuciem dla uciśnionego narodu polskiego, pan Sobieski, pisarz, historyk, który obecnie przebywa w Londynie, F. Wierzbińska i wiele innych osób.

Około 10-ej dziatwa i rodzice rozeszli się, dążąc z zmęczonemi dziećmi do domu.

Rodaczka.

Pani Pace uprasza ziomków o łaskawe ofiary z książek i dzienników, których — w Anglii nabyć nie można.

Ruch w Towarzystwach.

* **Walne zebranie** *Centralnego Towarzystwa Gospodarczego* odbędzie się w dniach 26, 27 i 28-go lutego w Poznaniu.

Program ogłosimy niebawem.

Do pp. sekretarzy i skarbników Towarzystw filialnych zanosimy prośbę o spieszne nadesłanie sprawozdań.

Przypominamy uchwałę zebrania zarządu z delegatami i wicepatronami, i w myśl jej upraszamy tych wszystkich panów, którzy zamierzają sprzedawać zboże do siewu w bieżącym roku, aby zechcieli łaskawie zgłosić się do nas.

Zarząd Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem.
Dr. T. Jackowski.

* **Monaster.** Następne Zebranie Towarzystwa „Sobieski“ odbędzie się dnia 3-go lutego w lokalu p. Buchsmanna (Restaurant zum Hasen Clemenstr. Nr. 24). Goście mile widziani.

Zarząd.

* **Szczecin.** Polskie Towarzystwo „Jedność“ w Szczecinie urządza w niedzielę dnia 3-go lutego r. b. o godzinie 7-mej wieczorem na sali p. Kotza, Gutenbergstr. 4, przedstawienie amatorskie. Odegrane będą dwie bardzo piękne i ciekawe sztuki: „Werbel domowy“ i „Takich więcej“; po przedstawieniu zabawa z tańcami. Szanownych Rodaków Szczecina i okolicy zapraszamy jak najuprzejmiej na to przedstawienie i mamy nadzieję że Rodacy z tej rzadkiej tutaj sposobności, by módz się pomiędzy swoimi skromnie i wesoło zabawić, tłumnie skorzystają i się pomiędzy sobą do jak najliczniejszego wzięcia udziału zachęcać będą.

Zarząd.

* **Hala.** (Sprawozdanie roczne Towarzystwa Polsko-katolickiego „Św. Franciszek“). Na początku roku 1906 stowarzyszenie liczyło 16 członków czynnych i 3 honorowych; w ciągu roku ogółem wstąpiło 47; z tych 28 odjechało w rodzinne strony, 5 zostało wykluczonych za niepłacenie składek miesięcznych. Jeden wystąpił i 1 poszedł do wojska. Obecnie liczy stowarzyszenie 28 członków zwyczajnych i 6 honorowych.

Posiedzeń w roku ubiegłym odbyło się 36 zwyczajnych i 2 walne. Posiedzenia zwyczajne często były urozmaicane przez odczyty ogólno-kształcące (historyczne i z literatury); na posiedzenia oprócz członków uczęszczali też licznie goście.

Stowarzyszenie obchodziło 13-to letnią rocznicę swego istnienia; również rocznicę „3 Maja“ i „Powstania Listopadowego“. Święta Wielkiejnocy i Bożego Narodzenia członkowie wspólnie spędzali przy urządzonej w lokalu „Święconce“ i „Gwiazdce“. W roku ubiegłym Stowarzyszenie urządziło 5 zabaw tańcujących, kilka wieczorków familijnych i 2 wspólne wycieczki do boru.

Do wspólnej spowiedzi i komunii św. członkowie przystępowali raz jeden. Za duszę ś. p. Arcybiskupa Stablewskiego była zakupiona msza żałobna.

Stan kasy. Ogólny dochód Stow. za rok 1906 wynosi 455,81 mk., rozchód 259,06 mk., Obecnie pozostaje w kasie 196,75 mk.

Stowarzyszenie posiada dosyć bogatą bibliotekę, składającą się z 209 dzieł. W roku ubiegłym były prenumerowane „Praca“ i „Gazeta Grudziądzka“.

Na walnem zebraniu dnia 20-go stycznia 1907 r. do zarządu zostali wybrani: Jan Kurzawski przewodniczący, Józef Kempiak sekretarz, Ignacy Skibiński skarbnik, Kazimierz Wyszyński bibliotekarz, Józef Kurzawski zastępca bibliotekarza. Komisya zabawowa: Antoni Kołaczyński, Piotr Wistup, Herman Skrzypczak. Komisya rewizyjna kasy i biblioteki: Antoni Płóciennik, Józef Biensz.

Statystyka głosów polskich

oddanych **przy wyborach do parlamentu** w latach 1898, 1903 i 1907.

Zestawił*) **Karol Rzepecki,**

Delegat Wyborczy dla Miasta Poznania.

*) Po wyborach ściślejszych ukaże się zestawienie poprawne.

Liczba	Okręg Wyborczy	Poseł względnie kandydat w roku 1903.	Polak otrzymał głosów czysto polskich 1898	1903	1907	Niemcy wszelkich stronnictw oprócz socyalistów 1898	1903	1907	Socyaliści (przeważnie Niemcy) 1898	1903	1907
	I. W W. Księstwie Poznańskiem										
1	Poznań i 2 pow. wsch. i zach.	B. Chrzanowski	15412	17338	21261	9482	9341	12065	726	1472	1377
2	Obor. Szam. Międz. Skwierz.	Hr. Mielżyński	12461	14147	15680	11586	11526	13404	62	588	533
3	Międzyrzecko Babimojski	X. Braun	7300	6714	8456	9555	11468	12976	—	223	141
4	Kośc. Grodz. Nowot. Smig.	Dr. Skarzyński	13906	16211	17400	4168	5159	6000	—	110	—
5	Gostyńsko Rawicki	X. Stychel	7470	9269	10600	3792	3848	4660	233	416	509
6	Leszczyńsko Wschowski	Trąmpczyński	3100	3508	3498	8053	7268	8143	—	616	551
7	Sredzko Sremski	Dr. Alf. Chłapowski	11821	14040	14500	3120	3764	4193	—	22	—
8	Pleszew. Jaroc. Wrzes.	Leon Czarliński	11070	13824	14687	2857	3481	4038	—	70	—
9	Krotoszyńsko Koźmiński	Dr. Mieczkowski	8065	8736	8687	2888	3113	3625	—	48	—
10	Ostrow. Ostrzesz. Odol. Kęp.	Książę Radziwiłł	12460	15290	17871	2706	4361	5563	32	160	—
11	Czarnkow. Chodz. Wiel.	Wal. Łebiński	5082	6025	6839	16280	15709	18276	—	749	1310
12	Wyrz. Szub. Zniński	Czarliński	10256	11783	11690	9810	10459	10853	—	35	152
13	Bydgoszcz i powiat	Czarliński	6198	7408	8182	10163	12175	16338	2930	3067	1722
14	Inowrocław. Strzel. Mogil.	Dr. Dziembowski	15158	17283	17921	5894	6998	8659	553	581	339
15	Gnieźn. Witk. Wagrow.	Dr. Grabski	14440	16484	16448	4951	6065	7755	—	250	81
			153154	178060	193780	105305	114735	136547	4530	8407	6715
	II. W Prusach Zachodnich na Warmii i na Mazurach										
1	Wejherow. Pucki Kartuski	Jante Połczyński	15486	16348	17365	5561	6001	6301	59	210	155
2	Kościers. Starog. Tczewski	Jan Brejski	13610	15040	16481	7168	8502	9302	73	245	198
3	Tucholsko Chojnicki	Wiktor Kulerski	8139	8739	9963	3813	4467	5350	94	163	139
4	Grudziądzko Brodnicki	Dr. Łaszewski	11774	12503	12820	12231	12223	13891	299	1397	1413
5	Świecki	Sas-Jaworski	6573	7091	8416	6807	7023	8134	—	200	109
6	Toruńsko Chełm. Wąbrz.	X. Bolt	13286	13952	14864	13941	13407	15552	435	998	529
7	Człuchowsko Złotowski	Dr. Komierowski	4568	5194	5454	13323	15606	17140	358	118	163
8	Susko Lubawski	Czarliński	8054	8534	8676	9562	9356	11218	111	230	161
9	Gdańsk miasto	Kulerski	310	440	428	11134	14451	17656	4976	6070	6390
10	Gdańskie 2 powiaty	Kowalski	810	1395	1174	7501	7950	12335	1194	2539	2724
11	Sztumsko Kwidzyński	Wolszlegier	6170	6214	6525	8459	8758	10527	227	677	640
12	Warmia. Olsztyński	Jaworski	5067	3858	5480	9322	10303	16043	154	1218	65
13	Mazury. Szczycieński	Labusz	5874	3925	200	7326	12837	18083	272	500	75
			99721	103233	107846	128006	130884	161532	8252	14565	12761
	III. Na Górnym Śląsku										
1	Pszczyńsko Rybnicki	X. Skowroński	centrum	13151	19920	16022	14901	10176	627	130	406
2	Katowicko Zabrski	Wojciech Korfanty	centrum	11670	27505	20403	22761	19816	9829	10258	5658
3	Bytomsko Tarnogórski	Adam Napieralski	centrum	6854	27513	24989	28056	17980	7955	10260	6859
4	Gliwicko Lubliniecki	X. Jankowski	40	8370	11602	15489	15848	13508	2366	991	1392
5	Raciborski	Gatzka	centrum	2461	4902	14167	15644	16611	1743	1750	1310
6	Opolski	X. Brandys	centrum	centrum	11507	15704	13267	8475	521	—	1185
7	Kozielsko Strzelecki	Siemianowski	centrum	1175	8473	11970	14308	12257	81	—	450
8	Głubczycki	Klose	centrum	1000	centrum	7057	8088	11692	293	379	348
9	Prudnicki	Strzoda	centrum	centrum	centrum	8404	9293	1428	1147	1217	1019
10	Kluczborsko Oleski	X. Rogowski	centrum	centrum	5161	—	—	7926	—	—	73
			40	44681	116583	134205	142166	119869	24562	24985	18200
	IV. W Nadrenii i Westfalii										
1	Dortmund	Chociszewski	—	2908	5099	29103	40283		26962	33171	
2	Bochum	"	—	7183	9818	61652	65410	71330	22379	39543	39597
3	Essen	"	—	1539	2540	57691	56099	48342	4400	22860	23203
4	Recklinghausen	"	156	4059	5069	19362	20648		2060	6505	
5	Mülheim Duisburg	"	—	2881	5679	45065	47161		7804	23287	
			156	18570	28205						
	V. W Berlinie i Brandenburgii										
6	Berlin i prow.	Czarliński	447	3000	5314	—	—		—	—	

Zestawienie

			Polacy.			Niemcy na ziem. niegdyś do Polski należ. oprócz socyal.			Socyaliści.		
I	Księstwo Poznańskie		153154	178060	193780	105305	114735	136547	4530	8407	6715
II	Prusy, Warmia, Mazury		99721	103233	107846	128006	130884	161532	8252	14565	12761
III	Górny Śląsk		40	44681	116583	134205	142166	119869	24562	24985	18200
IV	Nadrenia i Westfalia		156	18570	28205						
V	Berlin, Brandenburgia		447	3000	5314						
			253518	347544	451728	367516	387785	417948	37344	47957	37676

Wiadomości.

* **W sprawie wyborów ściślejszych** otrzymał Komitet Polityczny na Berlin i Brandenburgię następującą rezolucyę Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego:

„Do Polskiego Komitetu Wyborczego na Berlin i Brandenburgię.

Polski Centralny Komitet wyborczy uchwalił zawezwać organizacye wyborcze, by przy wyborach ściślejszych wydały hasło głosowania za kandydatami opozycyi, a nie zalecały wstrzymania się od głosowania wyborcom.

Z polecenia Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego podaję treść powyższej uchwały do wiadomości Szanownego Komitetu.

Tadeusz Szułdrzyński,
sekretarz.“

* **Petycya do Ojca św.!** Czytelnikom naszym zwracamy uwagę, że w myśl uchwał wieca polsko-katolickiego z dnia 17-go grudnia 1906 do wszystkich parafii archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej wysłane zostały formularze petycyi do Ojca św.

Uprasza się wszystkich ojców, matki, wdowy i opiekunów, aby w najbliższym czasie podpis swój pod rzeczoną odezwę położyli celem rychłego odesłania jej do Ojca św.

Spodziewamy się, że wszyscy rodzice obowiązek ten z równą gorliwością wypełnią, z jaką spieszyli do urny wyborczej.

* **Zasądzony ksiądz.** Przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Gnieźnie toczył się świeżo proces przeciw ks. proboszczowi Piotrowiczowi z Gniezna o rzekome przekroczenie znanego paragrafu o ambowie (§ 130 a) oraz przeciwko obywatelom Bysikiewiczowi i Wierbińskiemu i paniom Nowakowskiej i Ubaczowej o rzekome wykroczenie przeciw § 110, t. j. o podburzanie do nieposłuszeństwa wobec rozporządzeń władz. Rozprawy rozpoczęły się o godz. 9 rano i trwały do godz. 9 wieczorem. Jako rzeczoznawcy zapozwani zostali radzca rejencyjny Waschow z Bydgoszczy i radzca szkólny i inspektor powiatowy Foltz z Gniezna, oprócz tych jeszcze 24 świadków. Ks. prob. Piotrowicza skazano na 2 miesiące więzienia, pp. Wierbińskiego i Bysikiewicza na karę pieniężną po 100 m., panie Nowakowską i Ubaczową na karę po 50 mk.

* **Ośmiu księży Polaków** *przed sądem pruskim.* Dnia 29-go z. m. zasiadali na ławie oskarzonych w Lubawie następujący kapłani Polacy:

1) Ks. proboszcz Nikodem Kowalski z Kazanic,

2) ks. proboszcz dr. Franciszek Liss z Rumiana.

3) ks. proboszcz Walenty Pełka z Grabowa,

4) ks. proboszcz Franciszek Majka z Sampławy,

5) ks. proboszcz Franciszek Wachowski z Zwiniarza,

6) ks. proboszcz Aleksander Okoniewski z Lubawy,

7) ks. proboszcz Józef Ruchniewicz z Grodziczna i

8) ks. proboszcz Jan Batke z Radomna.

Kapłanom tym wytoczono proces o omawianie publiczne t. j. w kościele spraw państwowych w sposób zakłócający spokój publiczny, w myśl § 130 a kodeksu karnego. Karę za taki czyn wymierza kodeks karny tylko więzienną lub forteczną aż do lat dwóch.

Skargę wnosił pierwszy prokurator p. Zitzlaff z Torunia. Obrona spoczywała w rękach adwokatów pp. Kurzętkowskiego z Lubawy i Wolińskiego z Poznania. Na salę wpuszczano tylko za biletami.

Sąd skazał każdego z oskarżonych na miesiąc więzienia; prokurator żądał po 2 miesiące więzienia.

O procesie powyższym i o procesie ks. Piotrowicza rozpiszemy się obszerniej w następnym numerze.

* **Zasądzony** *za mowę wyborczą.* Przed izbą karną w Pile toczył się dn. 28 z. m. proces przeciwko naczelnemu redaktorowi „Wielkopolanina“ panu Waleremu Łebińskiemu. Oskarżono go z powodu mowy wyborczej, którą jako kandydat poselski wygłosił w Chodzieżu na wiecu. Przesłuchany jako świadek inspektor policyi poznańskiej pan Portaszewicz zeznał, że pan Łebiński powiedział, iż postępowanie rządu w sprawie strejku jest „niesprawiedliwe i nikczemne“. Oskarżony zaprzeczył temu, również trzech innych świadków nie słyszało tych słów. Mimo doskonałej obrony radcy sprawiedliwości p. Popławskiego z Piły, skazał sąd p. Łebińskiego na 200 marek kary lub 20 dni więzienia i koszta procesu.

* **Z doli redaktorów.** Redaktora „Wiarusa,“ p. A. Brejskiego, zabrała policya z redakcyi do więzienia. Pan Brejski skazany był na 2 miesiące więzienia za obrazę policyi w Wanne.

Redaktor „Przyj. Ludu“ p. Kopicki skazany został na podstawie znanego § 110 na *dwa tygodnie więzienia.*

Redaktora „Kuryera Pozn.“ pana Ziółkowskiego skazano na podstawie tegoż paragrafu w dalszym ciągu w 2 procesach na *650 mrk. kary.*

* **Proces prasowy.** Poznańska izba karna skazała dnia 30-go z. m. redaktora „Wielkopolanina“ p. Józefa Szmyta w sprawie szkolnej w trzech przypadkach na 450 mk. grzywien. Były to ostatnie procesy „Wielkopolanina“ w sprawie szkolnej.

* **Sąd Rzeszy** w Lipsku rozpatrywać będzie 26-go lutego sprawę wyroku pierwszego procesu „Gońca Wielkopolskiego“ w sprawie szkolnej.

* **Na 125 mrk. kary** skazany został przez sąd poznański gospodarz p. Wawrzyn Szajek ze Stęszewa. Jako członek dozoru szkolnego wszedł on do szkoły i na żądanie pana nauczyciela zaraz jej nie opuścił. Skutek był taki, że potem dzieci nauczyciela po polsku pozdrowiły. Sąd uznał, że w zachowaniu p. Szajka była obelga nauczyciela i zakłócenie spokoju domowego i skazał go na powyższą karę.

* **Bardzo** *zasadniczy wyrok „kamergerychtu.“* Jak wiadomo, odebrano organiście p. Feliksowi Napiętkowi w Ugoszczu na Pomorzu dwóch chłopców za opór bierny w nauce niemieckiej religii. Zamknięto ich zaraz w domu opiekuńczym w Słupsku. Ojciec protestował za wskazówkami „Straży“. Sąd ziemiański zniósł wyrok sądu okręgowego, lecz nie zadowolnił się tem landrat obwodowy i wniósł o rozstrzygnięcie najwyższego trybunału. Ten zawyrokował, że dzieci ojcu mają być wydane, gdyż nie zachodzi obawa, aby w dotychczasowem otoczeniu domu rodzicielskiego uległy zepsuciu.

* **Zasadniczy wyrok.** Gniazda sokole, należące do okręgu śląskiego, zgłaszały od dawna na policyi także zebrania, na których odbywano wyłącznie ćwiczenia gimnastyczne. Stan ten sprzeciwiał się dotychczasowej judykaturze tak kamergerychtu jak najwyższego sądu administracyjnego, według której także towarzystwa polityczne odbywać mogą zebrania, nie podlegające ani obowiązkowi zgłaszania ich na policyi, ani nadzorowi policyi, o ile na tych zebraniach rzeczywiście nie wpływa się na sprawy publiczne. Wobec tego zlecił wydział okręgu śląskiego w marcu 1905 r. wydziałom gniazd do okręgu należących, by odtąd zebrań gimnastycznych na policyi nie zgłaszały. Gniazdom w Katowicach i Siemianowicach, które do zlecenia bezzwłocznie się zastosowały, rozwiązała policya zebranie ćwiczebne z dnia 7 marca i 15 kwietnia 1905 r. O rozwiązanie zebrań wytoczyły wydziały wspomnianych gniazd policyi katowickiej skargę.

Wydział obwodowy w Opolu wyrokiem z dnia 12 lutego 1906 r. odrzucił skargę, wywodząc, że towarzystwa sokole tak intenzywnie polityką się zajmują, iż przypuszczać należy, że zawsze i wszędzie, gdzie się sokoli jako tacy zbiorą, zajmują się sprawami publicznemi. (!!)

Przeciwko temu wyrokowi założyły wydziały gniazd apelacyę. Najwyższy sąd administracyjny w Berlinie dnia 8 z. m. zniósł wyrok sądu wydziału obwodowego, uznał, że *rozwiązanie zebrań było nieprawne* i nałożył koszta procesu policyi w Katowicach.

Sprawę przez obiedwie instancye prowadził prezes okręgu śląskiego, mecenas dr. Z. Seyda z Katowic.

* **W sprawie groźby**, że dzieci strejkujące będą zatrzymywane w szkole ponad 14 rok życia, orzekł najwyższy sąd pruski w Berlinie, (Kammergericht), że dzieci w takim tylko razie wolno zatrzymywać dłużej w szkole, jeżeli termin przedłużenia nauki z góry jest oznaczony. Nie wolno zaś przetrzymywać dzieci na czas nieoznaczony (auf unbestimmte Zeit).

Sprawa w tym wypadku dotyczyła p. Ciecholewskiego ze Zblewa, w Prusach Zachodnich.

* **W sprawie** *statystyki rzemieślniczej.* Izba rzemieślnicza w Poznaniu rozesłała do chlebodawców formularze statystyczne, dotyczące zatrudnionych u nich czeladników. W kwestyonaryuszu umieszczono także zapytanie co do wyznania i narodowości pomocników. Otóż jak nam donoszą z zupełnie pewnego źródła, rubryk tych wypełniać nie potrzeba, ponieważ z całym rodzajem statystyki nie stoją w żadnej styczności. Z wiadomości tej

polscy chlebodawcy zechcą skorzystać i na pytania te nie odpowiadać, aby uniknąć ewent. ukucia przeciwko sobie samym broni.

* **Wieczór prasy.** Bal na rzecz Towarzystwa dziennikarzy i literatów polskich na Rzeszę niemiecką odbędzie się w czwartek 7 lutego na białej sali bazarowej. Nie ma dnia, żeby kilku przedstawicieli prasy polskiej nie stawało przed sądami pruskimi za obronę naszej słusznej sprawy. „Tow. dziennikarzy“ wytknęło sobie jako cel utworzenia żelaznego funduszu, z którego kiedyś redaktorzy otrzymywać będą zapomogi w starości lub w razie niemożności zarobkowania. Sądzimy, że ze względu na cel tak szlachetny obywatelstwo tak z miasta jak z prowincyi pospieszy tłumnie dnia 7 lutego do Bazaru i tem samem złoży dowód, iż losy dziennikarzy nie są jej obojętnymi.

Bliższe szczegóły balu podadzą ogłoszenia.

* **Z teatru.** W sobotę ujrzymy na naszej scenie bardzo efektowną komedyę p. tyt: *„Odgrzewana miłość.“* Ciekawy ten utwór osnuty jest na tle życia obywatelstwa wiejskiego w Kongresówce i różnych kolizyach z żandarmeryą i policyą rosyjską, — a więc niezwykle aktualnym i na dobie. (Ceny zwyczajne.) W niedzielę po południu o 3-ciej: *„Sherlock Holmes“* komedya w 4 aktach (po cenach do połowy zniżonych). W niedzielę wieczorem: *„Odgrzewana miłość“* komedya w 5 aktach. Ceny zwyczajne.)

* **Rogoźno**, dnia 28-go stycznia 1907. W dniu dzisiejszym pobłogosławił ksiądz proboszcz Gapczyński związek małżeński pomiędzy p. Zygmuntem Goldmannem, zawiadowcą domu towarowego z Brodnicy (Pr. Zach.), a panną Teodorą Dyczkowską z Rogoźna. Licznych gości podejmowała matka pani młodej w hotelu p. Krupskiego.. Telegramów nadeszło blizko sto.

Szczęść Boże młodej Parze!

* **Nowa Cerkiew.** W środę dnia 9 z. m. pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Aleksadrem Cybulskim, właścicielem handlu żelaza w Brodnicy, synem znanego w Gnieźnie obywatela p. Teodora Cybulskiego a panną Maryą Wachowską, córką właściciela ziemskiego Wachowskiego na Olszach. Brat panny młodej ks. Wachowski prob. ze Zwiniarza przemówił w pięknych słowach do pary młodej i licznych uczestników i dokonał w asyście miejscowego wikarego ks. Goska aktu ślubnego. Gości podejmował po staropolsku brat panny młodej p. Bogusław Wachowski na Olszach, gdzie bawiono się do dnia następnego. Telegramów nadeszło przeszło 100. Młodej parze szczęść i błogosław Boże!

Jeden z uczestników.

* **Cöthen-Anhalt.** Akademickie Polskie Towarzystwo „Lechitia“ chętnie udziela wszelkich informacyi kolegom, mającym zamiar przybyć na studya do politechniki w Cöthen. Adresować należy: Br. Zdrojewski, prezes Twa „Lechitia“ — Cöthen-Anhalt, Ludwigstr. 7, pt.

* **Prośba** *poety-włościanina.* Antoni Kucharczyk w Benczynie p. Wielkie Drogi (Galicya), znany poeta-włościanin „Jantek z Bugaju“ (pseudonim) — potrzebuje jeszcze do ukończenia budowy domku nieco funduszu. Ma na sprzedaż kilkadziesiąt książek „Blade kwiaty z wiejskiej chaty“ własnej kompozycyi po 2 korony za egzemplarz, czyli o koronę taniej aniżeli w księgarni i prosi rodaków, aby mu przyśli w pomoc przez kupno owych książek.

Prośbę polecamy gorąco naszym Czytelnikom.

* **Prośba.** Ojciec sześciorga drobnych dziatek, z których się troje uczy bardzo dobrze, nie może skutkiem dłuższej choroby, zapłacić za nie szkolnego, więc puka do serc miłosiernych rodaków, aby mu w tej sprawie dopomogli materyalnie. Składki na ten cel przyjmować będziemy.

* **Pisma** polskie w Księstwie uprasza się o zapytanie czytelników swoich, w którem mieście Księstwa do 8000 mieszkańców byłby do wydzierżawienia warsztat dla kowala lub ślusarza. Może komisarze „Straży“ w danych miejscowościach zechcą dać na to odpowiedź w swoich organach.

Chodzi tu o rodaka w Berlinie zdolnego fachowca, któryby koniecznie chciał się osiedlić w Księstwie.

Starosta „Straży“ w Berlinie.

* **Polak**, który był 13 lat w biurze komisarskiem obwodowem jako sekretarz zatrudniony, posiadający chlubne świadectwa i rekomendacye, uprasza rodaków o wskazanie mu odpowiedniej posady lub też miejscowości, w którejby mógł otworzyć biuro ludowe i przytem założyć skład papieru i podobnych artykułów albo skład porcelany. Łaskawe doniesienia uprasza się nadesłać do redakcyi „Pracy“ w Poznaniu.

* **Zwracamy** niniejszem uwagę na *ogłoszenie samodzielnych siodlarzy, o zjeździe odbyć się mającym w Poznaniu* 3-go lutego 1907 o 12-tej godz. w poł. na sali hotelu Saskiego. Czas wielki by był, ażeby siodlarze nareszcie pomyśleli także o dźwigni swego stanu i rzemiosła, sądzimy, iż komu tylko czas pozwoli, stanie i dopomoże swojem zdaniem do utworzenia pożytecznej instytucyi.

* **Prośba:** Z powodu strajku wydalony został z pracy p. *M. Bleja,* obecnie w Królikowie pod Kcynią. Prosi o miejsce włodarza, podwórzowego lub forszpana. Prośbę tę polecamy łaskawym względom naszych Czytelników.

Nekrologia.

† Ś. p. *Franciszek Birowicz*, członek Towarzystwa „Sokół“ w Hamburgu, dawniejszy Sokół dortmundzki, dnia 14-go z. m. w Hamburgu, licząc lat 19. R. i. p.

† Ś. p. *Michał Piszczek*, długoletni organista w Nowemmieście nad W., jeden z założycieli i gorliwych członków tamtejszego Towarzystwa Pr emysłowego, umarł dnia 12-go z. m. w Nowemmieście w 60-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *ks. Ludwik Drwęski*,, radzca duchowny, emerytowany dziekan Krobski i proboszcz Pawłowicki dnia 22-go z. m. w Pawłowicayh w 73-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Franciszka z Szubczyńskich Flachowa*, dnia 23-go z. m. w Zabartowie. R. i. p.

† Ś. p. *Halina Marya z Gąsiorowskich Chrzanowska*, żona lekarza, dnia 27-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 29. R. i. p.

† Ś. p. *Marya z Oborskich Rutkowska*, dnia 27-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisław z Błociszewa Gajewski*, dnia 29-go z. m. w Turznie, przeżywszy lat 44. Zwłoki złożono dnia 1-go b. m. do grobów rodzinnych w Wielkołące R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Mellin*, dnia 28-go z. m. w Kuczwałach, przeżywszy lat 65. Pogrzeb odbył się dnia 1-go b. m. w Grzywnie. R. i. p.

† Ś. p. *Jan Nepomucen Skalski*, dnia 28-go z. m. w Poznaniu w 87-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Marya z Pawlickich Krzyżaniakowa*, dnia 27-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 62. R. i. p.

Nasza ofiarność

Na koszta agitacyi przy wyborach ściślejszych na Górnym Śląsku złożono na ręce p. Zygmunta Marwega w Domu Przemysłowem razem 129 mrk. 65 fen.

Na cel powyższy jak najchętniej składki przyjmować będziemy, ale prosimy o pospiech, gdyż wybory ściślejsze odbędą się już dnia 5-go b. m.

* * *

Na cele wyborcze p. A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 1 mrk.

Od Redakcyi.

— *Do Połajewa:* — Dziękujemy za pamięć. Te wszystkie względy jednakże, które Sz. Pan porusza — sądów pruskich nie wzruszyły nic a nic. Istotnie poruszał je w obronie swojej p. mec. dr. Dziembowski. Bez skutku. Sądy pruskie — widzą tylko pisany paragraf pruski — polskiej słuszności *nie* widzą! Pozdrawiamy Pana uprzejmie.

—*Panu Janowi K. w Linden.* — Lombardya — dziś prowincya do Włoch należąca, dawniej była udzielnem państwem. Różne pielgrzymki — także królowie — w różnych czasach do Papieży się udawały i posłuchanie u nich miały, więc mógł i ów „Lombarden-König“ być u jednego z Papieży; rzecz o relikwiach może się nie mijać z prawdą. Jeden z ostatnich Papieży, deputacyi polskiej w podobny odpowiedział sposób.

— *Panu Janowi B. w R.* (*Górny Śląsk*). — Rozwiązanie „tabakierki“ uwzględniliśmy tylko do dnia naznaczonego t. j. 26-go stycznia. Za nadesłane logogryfy dziękujemy.

— *Wielebnemu Ks. W. J. w Z.* — Za wiadomość dziękujemy najuprzejmiej.

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

39) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Wielkie ciężary dźwigało Księstwo i cierpieć musiało różne niedostatki. Lecz obywatele nie tracili głowy i ducha a wzięli się energicznie do pracy, w której szczególnie zasłużył się Feliks Łubieński, minister sprawiedliwości i spraw zagranicznych. Przedewszystkiem, jak wiemy, zaspokajano zobowiązanie Napoleona, na co zaciągnięto dobrowolną pożyczkę. Według potrzeb narodu rozwijała się konstytucya, a włościanie cenili sobie wielce nadaną im wolność[1]). Stanisław Potocki na czele komisyi edukacyjnej rozwijał gorliwą czynność. Powstawały szkółki wyższe i wiejskie parafialne, o których zakładanie szczególnie starał się uczony Staszic; był nawet plan założenia Akademii[2]).

— Musimy dokładnie poznać kodeks Napoleona i rozpowszechniać go, ale łagodzić jego postanowienia, które rażą nasze pojęcia narodowe!

To zdanie mając na uwadze, członkowie rządu rozpowszechniali wśród narodu nowe prawa[3]).

Wojsko już urządzone na sposób francuski i podniesione do żądanej liczby 30,000 ludzi różnej broni[4]); mini-

---

[1]) Wracając do sprawy włościan dodać należy, że z tej konstytucyi nie wiedzieli oni, co stanowi ich własność. Mieli wolność opuszczenia wsi, ale dziedzice, bojąc się, ażeby nie zostali bez robotników, utrudniali im to opuszczanie ziemi, przez co powstały narzekania i zatargi. Król Fryderyk August podpisał więc dekret (21 grudn. 1807 r.) mocą którego włościanie mieli wolność zupełną opuszczenia wsi a wrazie sporów z dziedzicami sąd rozstrzygnął sprawę. — Jednakże ten dekret właścicielowi przyznawał własność ziemi, bo tak opiewał: *Włościanin wyprowadzający się ze wsi, w której dotąd pozostawał, winien oddać dziedzicowi własność gruntową tegoż dziedzica.* Taki więc dekret ułożony w interesie dziedziców był niesprawiedliwy dla włościan i sprowadził wiele złego tak dla rolnictwa jak i wogóle dla kraju całego, a chyba tę jednę przynosił krajowi korzyść, że przy dźwiganiu się i rozwijaniu przemysłu w Księstwie potrzeba było wiele rąk wolnych, nieprzywiązanych do gleby. — A przecież i taka wolność włościan była dziełem postępu i przez nich samych wielce ceniona a do wolnych ziem Księstwa ściągały się teraz spore zastępy ludności wiejskiej z pod zaborów austryackiego i rosyjskiego. — A gdy wojsko polskie z Księstwa wkraczało do ziem tych zaborów ludność wiejska witała je serdecznie:

— Witajcie bracia, pewnie niesiecie nam wolność od znienawidzonego poddaństwa.

Kiedy raz ukazało się to wojsko we wsi Wielebnie, powiatu kieleckiego, wystąpił włościanin *Tomasz Ptak*, wytoczył przed dom starą armatę, a patrząc z zachwytem w polskie szeregi, rzekł z rozrzewnieniem:

— Żołnierze polscy, prawi spadkobiercy Kościuszkowscy, oto armata, którą przechowywałem troskliwie od czasu powstania naszego wielkiego bohatera, a teraz wiernie oddaję ją znowu w ręce polskiego wojska naszego!

Można na pewne twierdzić, że sprawa nadania włościanom gruntów w wieczne dziedzictwo byłaby pomyślnie załawiona gdyby nie ustawiczne wojny. Wnosić to można z projektu Warsz. Surowieckiego, który ułatwiał włościanom nabywanie gruntów w wieczne posiadanie, który to projekt miał bardzo wielu zwolenników i pozyskał dla autora ważne stanowisko w ministerstwie. — Według Kałłątaja Księstwo Warszawskie złożone z Wielkopolski i Mazowsza lepiej rozumiało doniosłość tej sprawy włościańskiej, niż Litwa i południowe ziemie Małopolski. — Limanowski, 59—61.

[2]) Rząd pruski nie zostawił Księstwu więcej jak 600 lichych szkół i szkółek, więc Izba edukacyjna ogłosiła dn. 12 stycznia 1808 r. urządzenie szkółek wiejskich po wszystkich gminach a fundusze na ten cel zebrały się ze składek po miastach i wsiach. Rozwinięto lepiej naukę w zakładach kadeckich w Kaliszu i Chełmnie, gdzie liczba członków doszła do liczby 160. W Łowiczu założono szkołę nauczycieli. — Morawski, VI, Limanowski, 61,62.

[3]) Głównie dla oswojenia narodu z nowem prawodawstwem założona została w Warszawie szkoła prawa (8 marca 1808 r.). Przy wprowadzeniu nowego prawa, powstało zamieszanie w stosunkach domowych i naruszone zostały drogie zwyczaje narodowe. Ale usuwała się ta narzucana mieszanina pruska, a państwo zyskało najnowsze prawo europejskie, zastosowane do najnowszej cywilizacyi i nastawała w kraju sprawiedliwość jawna, którą mu rząd pruski odebrał. — Kodeks francuski ogłoszony prawem cywilnem; niepodległość sądownictwa ubezpieczona. Każdy powiat miał swój sąd pokoju (polubowny), każdy departament trybunał pierwszej instancyi, dla całego kraju był w Warszawie sąd apelacyjny, a dla tłomaczenia prawa sąd kasacyjny. Dla sądzenia występków był na dwa departamenta sąd kryminalny. — Morawski, VI, 78,82.

[4]) Na wzór Francyi powoływano do wojska wszystkich bez różnicy mieszkańców na lat 6, w miarę potrzeby, od 21 do 30 roku życia; popisowy naznaczony losem, mógł wyręczyć się zastępcą. — Moraw., VI,83.

Czerwony znak.

21) Z włoskiego tłumaczył A. P.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ 27.

Dwa lata minęły od tego czasu.

Stella poznała wówczas w Caradinim Henryka Poiton, który potrójną w swem życiu odgrywał rolę, lecz pomimo wszelkich usiłowań policyi nie zdołano wykryć ani Macropula ani Anieli.

W mauzoleum znaleziono tylko jej broszkę, którą zapewne w walce z Hamiltonem zgubiła.

Trzy miesiące później spełniło się życzenie umierającego Caradiniego, a raczej jego pragnienie zemsty, o tyle, że Macropulo padł ofiarą sprzysiężonych. Czy zdradził jaką tajemnicę, czy za wiele znał tajemnic — nie wiadomo, dosyć, że nagle zaczęli policyanci aresztować mnóstwo anarchistów w Anglii, Francyi, a mianowicie w Włoszech, i że pewnego dnia znaleziono ciało Greka w Tamizie. Samobójstwo było wykluczone, bo lekarze skonstatowali uduszenie i trup cały był sznurem owiązany. Kto go zamordował, kto go w wodę wrzucił, kim było onych pięciu zamaskowanych spiskowców tworzących z panem Feliksem i Macropulem Radę siedmiu, to pozostało tajemnicą na zawsze.

Hamilton był jednym z tych, którzy sprawdzili tożsamość osoby Greka przed sądem. Raz jeszcze w życiu i jak tego gorąco pragnął — ostatni, ujrzał na ramieniu zamordowanego ów znak czerwony, od alfy do omegi, z sztyletem w kształcie krzyża! Znak ten zobowiązywał do ślepego posłuszeństwa wszystkich członków i sprowadzał śmierć tym, którzy czasem chcieli mieć swoją wolę lub jedno słowo za wiele powiedzieli......

Ostatnim śladem Anieli był ślad jej stóp. Tamiza wydała napowrót ciało Macropula, lecz Anioł rozwinął swe czarne skrzydła i zniknął w nieskończoności.

I nie było go przez całe dwa lata.

Hamilton zaręczył się z Stellą. Po roku praktykowania w szpitalu, rozpoczął praktykę na własną rękę, a przyjaźń barona Ravendale i jego żony przysporzyła mu dużo pacyentów z wytwornego świata. Dzięki ich protekcyi stał się nieznany, skromny doktor Hamilton nawet sławnym i poszukiwanym lekarzem. Tym sposobem mógł się o wiele prędzej ożenić, niż początkowo myślał i wszystko wróżyło jemu i ukochanej jego Stelli jak najjaśniejszą przyszłość.

Jedna tylko chmurka zaciemniała jeszcze horyzont

strem wojny i głównym wodzem był książe Józef Poniatowski[1]), szefem sztabu Stan. Tisner[2]).

Z małymi wyjątkami[3]) szerzyła się w narodzie ufność do nowych rządów a zarazem ofiarność dla zaspokojenia potrzeb w dobrowolnych podatkach, jakie na siebie nakładano. Wśród powagi i harmonii obrad goiły się dawne rany i przygotowywała się lepsza przyszłość.

Szczególnie rzewnym i podniosłym wypadkiem było odbycie pierwszego, po Czteroletnim, sejmu (9-go marca 1809 r.) pod przewodnictwem tego samego króla, którego powołano na tron w tych samych murach, i z tym samym marszałkiem Małachowskim, teraz prezesem senatu. Nieporozumienia jakie wynikły na sejmie załatwił rozumnie wielce taktowny król, podbijając zupełnie serca narodu i izby poselskiej, a w mowie, którą zamykał sejm tak serdecznie się wyraził:

— Jednostajnie powtarzane dowody ufności i przywiązania dla naszej osoby, samem tylko ojcowskiej wdzięczności uczuciem serce moje napełniają![4])

[1]) Mianowanie księcia Poniatowskiego ministrem wojny i naczelnym wodzem armii bardzo przykre zrobiło wrażenie w wojsku.

— Dąbrowski powinien być ministrem, powinien być naszym wodzem — mówili żołnierze — bo on poświęcał się dla ojczyzny i walczył w szeregach, gdy ten jakby cudzoziemski „Pepi“ (tak zwano Ks. Józefa) siedział w Warszawie, bawił się i urządzał pod Blachą wieczorki i teatry francuskie!

Słuszne potępienie za lata zapomnienia, które w części miały swój powód w upadku ojczyzny. Ale Książę Józef, jak przedtem służył wiernie i bohatersko ojczyźnie, tak i potem swemi bohaterskiemi czyny zmył dawne chwilowe winy. Lecz teraz miał Ks. Józef wiele pracy nim do tego doprowadził. Oburzało się nań wojsko, nie ufali mu Francuzi, jak marszałek Davout i sam Napoleon, uprzedzony niekorzystnie przez gen. Zajączka. Tylko Muratowi zawdzięcza Ks. Józef, że został naczelnikiem polskiej siły zbrojnej Jako minister wojny zaczął trudną działalność organizacyjno-wojskową, na każdym kroku spotykając niechęć członków komisyi, między którymi rozchodziły się krzywdzące Księcia podszepty. Przed samą Tylżą, gdy ponowiły się ze stony Rosyi i Prus próby pozyskania Polaków, Ks. Józef nie wdawał się wcale w tak śliskie propozycye, pilnując tylko surowo swych wojskowych obowiązków. Za to doznawał prawie prześladowania i utrudnień w swych działaniach, wchodząc w zatargi z Dąbrowskim i Zajączkiem. A mimo to już po roku praca jego była wielce wydatna, bo stanęło już 500,000 wojska. Dwa lata ubiegły na gorączkowej organizacyjnej pracy takiej, wśród swarów i zatargów z nieufającymi Księciu, którzy uważali go ciągle za intryganta marzącego o władzy, nawet o koronie (Askenazy: Ks. Józef Poniatowski (1763—1813). (Tyg. ill. warsz. nr. 8, r. 1906. Limanowski, 56.)

[2]) Stan. Fiszer ur. w r. 1770, adjutant Kościuszki, wzięty do niewoli pod Maciejowicami (w r. 1794), po uwolnieniu walczył w Legionach, po roku 1801 przebywał we Francyi i Anglii; pieszczotliwie zwany był „Fiszerkiem“.

[3]) Znajdowali się niestety tacy, którzy zniesienie poddaństwa uważali za ujmę „praw swoich“, lecz gorzej i tacy nikczemni co kochali Prusaków, tęsknili za ich jarzmem i wzdychali:

— O żeby się wróciły szczęśliwe czasy pruskie, żeby powróciła ta szczęśliwa niewola!

Było w kraju wiele niezadowolonych, którzy wykpiwali urządzenia. Księstwa nie bez dowcipu, nócąc sobie:

Księstwo Warszawskie, a pieniądz pruski,
Wojsko polskie, król saski, a kodeks francuski.

Między ludem zaś snuli się agenci Rosyi i Prus i pletli niestworzone baśnie łatwowiernym:

— Nie cieszcie się, bo wnet powrócą rządy pruskie!

— Wkrótce część Warszawy zburzona zostanie na fortyfikacye!

Ale ogół narodu zadowolony strzegł Księstwa jako ogniska nadziei narodowych, a w granice jego przenosiło się na stałe mieszkanie wiele rodzin z Prus, Galicyi, Litwy i Rusi, nie zdarzyło się zaś, aby przeciwnie się działo — Morawski, VI, 93.

[4]) Lewicki, 391, 392; Sokołowski, IV, 1345. — Ze względu na naród polski należy wyjaśnić w tych czasach, bliżej *stosunek Aleksandra I do Napoleona i naodwrót.* Od pokoju tylżyckiego obaj monarchowie żyli w przyjaźni i spędzali czas na biesiadach, przeglądach wojsk i poufnych pogawędkach. Gdy nagle nadeszła z Konstantynopolu depesza, donosząca o złożeniu z tronu sułtana Selima III. i o zmianach w Turcyi, Napoleon wobec cara zawołał: — Oto wyrok opatrzności, wskazujący, że państwo ottomańskie dłużej istnieć nie może.

I obaj cesarze zwrócili teraz całą swoją uwagę w tamtę stronę, nie mówiąc o niczem innem, tylko o rozbiorze Turcyi. Dzieląc już naprzód jej ziemię car myślał: — I oto otworem stoi dla mnie droga do Konstantynopola!

A Napoleon:

— Oto teraz pokonam nienawidzoną dumną Anglię!

Ale w tych planach psuł im humor pokorny król pruski, psuło grobowe widmo ruszającej się Polski. Więc niespokojnego o tę drogę cara uspokajał Napoleon:

— Nie myślę wcale odbudować Polski!

A car dodał z pewną ulgą w sercu:

— Ach, więc nie przestanie istnieć państwo pruskie!

I Napoleon acz pod ciężkimi warunkami pozostawił jeszcze przy życiu państwo Hohenzollernów.

Co do tej Turcyi szczególnie niecierpliwił się zmienny car. Lecz olśniony Napoleonem, uwielbiał go i wierzył mu, czego nie podzielał jego naród, do niedawna podburzany przeciwko Francuzom.

— A to heretyki, a to wrogi państwa i prawosławnej cerkwi! — mówił lud moskiewski.

Stelli. Smutek jej po stracie ojca złagodniał wprawdzie znacznie, i uspokoiła się chociaż o tyle, że jeżeli rzeczywistego mordercy jeszcze nie odkryto, to śmierć jego już w części pomszczoną była śmiercią głównego winowajcy, Caradiniego. Nie myślała teraz już tyle o swej zemście, ale czasem drżała z strachu na myśl, że Anioł znów się zjawić i zagrozić jej szczęściu może.

I ta jednak chmura rozproszyła się wkrótce.

Było to kilka dni przed ślubem. Hamilton wracał około dziesiątej do domu. Cały wieczór przepędził w towarzystwie baronowej i Stelli, która już nie nauczycielką Emilki, tylko przyjaciółką baronowej była, i gdy otworzył drzwi swego pokoju, ujrzał ku swemu niezmiernemu zdumieniu siedzącego przy oknie Cevanci'ego! Stary Włoch postarzał jeszcze więcej, włosy jego zbielały zupełnie i postać jego jeszcze więcej była zgarbioną niż przed dwoma laty. Ale twarz jego miała wyraz głębokiego spokoju i zadowolenia.

— Chodź pan ze mną, — rzekł krótko.

Hamilton domyślił się natychmiast wszystkiego.

W milczeniu usiedli do dorożki i jechali długo, blizko godzinę. Gdy stanęli na miejscu, odprawił Cevanci dorożkarza i przeszedł z doktorem na drugą stronę ulicy. Była to część miasta, w której najbiedniejsi mieszkali ludzie, domki były tu małe brudne i mieściły w sobie setki robotników i nędzarzy. Kto się chciał ukryć przed policyą, nie mógł lepszego znaleść schronienia — było tu takie mnóstwo osób, że jedno na drugie żadnej nie zwracało uwagi.

W wązkiej, ciemnej sieni, do której teraz weszli, odezwał się Cevanci:

— Wiedziałem, gdzie ona się przez cały ten czas ukrywała! I Bóg sam osądzi, czy uczyniłem źle czy dobrze, że zataiłem to policyi. Ale jedno wiem napewno: od śmierci Macropula nie ruszyła już ręką w interesie sprzysiężonych. Idź pan do niej i rozmów się z nią. Prosiła mnie, abym po pana poszedł. Ja zostanę tutaj, bo ona sama chce być z panem.

Hamilton wszedł do małej, nędznej izby, w której na wązkiem, żelaznem łóżku leżała umierająca kobieta. Na pierwszy rzut oka poznał, że nie ma dla niej ratunku. Po bladej twarzy i błyszczących oczach poznał natychmiast Anielę, ale dziś miała twarz jej wyraz łagodny i spokojny, jakiego dawniej nie posiadała nigdy. Jak cudownie piękną musiała być ta kobieta w swej młodości! W obec zbliżającej się śmierci zakwitła raz jeszcze w całym blasku swej piękności, aby w krótce zgasnąć na wieki.

Aniela przywołała skinieniem ręki Hamiltona i zaczęła mówić głosem cichym, urywanym:

Napoleon, przejęty zamysłami przeistoczenia całego świata, zabrał z Madrytu króla hiszpańskiego Karola IV. wraz z synem Ferdynandem i przywiózł ich do Francyi, a tron hiszpański oddał bratu swemu Józefowi.

— A to rewolucyoniści i burzyciele porządku społecznego! — przerywała ich arystokracya rosyjska.

A car Aleksander nalegał.

— Ja zerwę z Anglią, lecz za to dostanę na wschodzie Mołdawią i Wołoszczyznę.

— Dobrze, — odpowiedział Napoleon — ale Prusy, które dotąd kontrybucyi wojennej nie zapłaciły, oddadzą Śląsk królowi saskiemu!

— Oj nie, nie!... — sprzeciwiał się car i jego ministrowie, bo kochając Prusaków tak lękali się w swych myślach:

— Śląsk, Śląsk!... jakże potężnym stałby się król Fryderyk August otrzymawszy tę zamożną prowincyę! Śląsk złączony z Księstwem Warszawskiem zbudziłby w Ślązakach dawne tradycye polskie... a jakże wtedy rychło odbudowałaby się Polska, tak straszna dla monarchów Prus i Rosyi!

A zacny król Fryderyk August tylko czekał na to i przy każdej sposobności myślał i mówił:

— Ja kocham tych dzielnych Polaków, mnie łączą z tym narodem tak żywe tradycye, ja chcę wywyższyć siebie i moją dynastyę, ja chcę odzyskać tę koronę, którą niedawno przeznaczył mi polski Sejm czteroletni!

Śląsk ostudził zapał Aleksandra dla Napoleona, ale nie na długo. Bo oto już 2-go lutego 1808 r. otrzymał car od niego nową przynętę w następującem piśmie:

— Pomogę WCMości całą mą potęgą do oddalenia Szwedów od Petersburga i do rozszerzenia granic Rosyi. 50 tysięczna sprzymierzona armia nasza ruszy przez Konstantynopol do Azyi, a wtedy zadrży i upokorzy się przed nami dumna Anglia. Za miesiąc staniemy nad Bosforem!

— Oto wielki człowiek! Oto plan wspaniały! — wołał zachwycony car, który marzył o zdobyciu stolicy szwedzkiej Stockholmu i strąceniu sprzymierzeńca Anglii Gustawa IV. I odczytywał ciągle ten miły list Napoleona, a do Rumiancowa wołał:

— Panie ministrze, przystępujemy zaraz do podziału Turcyi!

Lecz rozradowanemu, zachwyconemu swym wielkim przyjacielem stanęła zaraz na myśli ta jedna troska:

— A odbudowanie Polski?!..

Więc zawołał stanowczo a surowo:

— Śląsk nie zostanie oddany Księstwu, wszelkie niewczesne manifestacye (publiczne objawy myśli) polskie będą powstrzymane!

I zaraz, jak najprędzej nastąpił zjazd w Erfurcie (11 paźdz. 1808 r.), gdzie Aleksander uspokoił się co do tych obaw swoichi

Ale Napoleon, czytając w duszy Aleksandra, myślał o nim protekcyjnie:

— Oj przyjacielu, prawda, ja mogę wszystko robić, byleś ty otrzymał Konstantynopol i Dardanelle?! Ale nie tak prędko,... ja już o Turcyi teraz nie myślę, dla mnie najważniejszym celem jest upokorzenie dumnej Anglii!

A ponieważ ze wszystkich większych państw pozostawały w przyjaźni z Anglią tylko Turcya, Hiszpania i Portugalia, więc Napoleon, pomijając Turcyę, postanowił (w lutym r. 1808) wyprawić się przeciw Hiszpanii i utworzyć z niej zależne od siebie państwo. — Sokołowski, IV, 1345—1349.

Ale naród hiszpański, dotąd pogrążony w ciemnocie i odrętwieniu, otrząsł się nagle z wiekowego letargu[1]) i powstał z bronią w ręku przeciwko narzuconemu królowi i przeciwko francuskiej przemocy. I wybuchło straszne powstanie, którego stłumić nie mogły nieliczne i porozrzucane po całym półwyspie wojska francuskie, a król Józef musiał opuścić Madryt i schronić się w Wittoryi.[2])

Rozpaliła się *wojna w Hiszpanii,* wojna straszna, zapamiętała, w dziejach świata bezprzykładna. Naród hiszpański we wszystkich warstwach społeczeństwa, podniecany przez swych kapłanów, wspomagany przez Anglików, bronił niepodległości i godności ojczyzny z całem zaparciem się siebie, poświęceniem i wytrwałością. Główną ziemią, gdzie rozwijało się powstanie, była prowincya Aragonia[3]) ze stolicą Saragossą; na czele powstania stał dzielny Palafox.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



[1]) *Letarg,* z greck. sen mający pozór śmierci; z takiego stanu chorzy z wielką trudnością mogą być wyprowadzeni, a bywało wiele wypadków, że chociaż żyli, grzebano ich jako umarłych.

[2]) *Wittoria,* miasto warowne, stolica prowincyi hiszpańskiej, Alawy na południu zachodnich gór Pirenejskich.

[3]) *Aragonia,* królestwo w północ. Hiszpanii, przytykające do Francyi po obu brzegach rzeki Ebra.

— Posłałam po pana, nie jako lekarza — tylko po człowieka, któremu mam niejedno jeszcze do powiedzenia. Muszę wrócić spokój Stelli, zanim umrę. Pan wiesz, że Caradini spowodował śmierć starego Garcyi, ale morderstwo — popełnił ktoś inny. Zanakiś i... i... ja... zabiliśmy go! Ja wprowadziłam Zanakisa do domu mego męża, i moja dłoń zadała Garcyi cios śmiertelny. Myśleliśmy oboje, że popełniamy dobry czyn, zabijając człowieka, który złamał przysięgę i zdradził swoich towarzyszy. Byliśmy duszą i sercem oddani związkowi i musieliśmy być posłuszni! Zanakis padł również ofiarą zdrady — zamordowano go tak samo niesprawiedliwie, jak Garcyę — oskarżono go bowiem o coś, czego nigdy nie uczynił. Ja umieram jako ostatnia, która stała w styczności z śmiercią ojca Stelli. Powiedz jej, że na łożu śmiertelnem mówiłam prawdę.

— A mąż pani — Cevanci — wie o tem!

— Ach, biedny Ernesto! Mój mąż! — szepnęła z czułością. — Jaki on był dobry dla mnie! Może on się domyśla wszystkiego, ale dokładnie nie wie tego. Nie powiadaj mu pan nic! To co ci powiedziałam, było jedynie przeznaczonem dla Stelli. Nie chciałabym, aby ktoś więcej wiedział, że ja — zabiłam — jej ojca!

— Przyrzekam pani, że uczynię wszystko tak, jak sobie tego życzysz.

— Po śmierci Cevanciego możesz rozgłosić całą sprawę, przedtem jednak nie!

— Nie zechcesz pani wyznać jeszcze, dla czego i z czyjej ręki zginął Macropulo? — zapytał Hamilton po chwili milczenia.

— Nigdy! — zawołała Aniela gwałtownie. W jednem tem słowie odezwał się raz jeszcze fanatyzm minionych czasów. — Ja tajemnic nie zdradzam!

I od tej chwili umilkła już na zawsze.

Nad ranem opuścił Hamilton nędzną tę izbę, w której skończyła życie kobieta, mająca niegdyś wszelkie warunki szczęścia, a namiętnością wykolejona i nieszczęśliwa.

Rok później otrzymał Hamilton z Neapolu wiadomość o śmierci Cevanciego.

A jak troski i radość często się na tym świecie spotykają, tak i tutaj się stało. Wiadomość ta nadeszła właśnie w dniu, w którym szczęście Hamiltona na najwyższem stanęło szczeblu — gdy ukochana jego Stella została matką ślicznego i zdrowego chłopczyka!

Koniec.





Niemcewicz w Ameryce.



Posiadłość Niemcewicza w Ameryce.

Przynoszę ci wolność generale — rzekł cesarz Paweł I wchodząc do Kościuszki uwięzionego w pałacu Orłowa w Petersburgu. Jakoż rzeczywiście, Kościuszko, a z nim i wszyscy nieomal jeńcy polscy, otrzymali tyle upragnioną swobodę, tę wolność, która jak chleb i powietrze potrzebną jest do życia. Kościuszko, sterany chorobą, zmęczony, podupadły na duchu, skłonił Niemcewicza, aby towarzyszył mu w podróży do Ameryki, a ten zaś, pomny na dni doli i niedoli, jakie przeżywali razem, bez wahania zgodził się na tę nową tułaczkę.

Po długiej i uciążliwej podróży przybyli nakoniec do Bristolu, — zkąd przy końcu czerwca udali się na okręcie „Adriana" do Ameryki. Ośmdziesiąt przeszło dni byli na morzu, aż zmęczeni i nieprzyzwyczajeni do tak niezwykłej drogi, przybili nakoniec do Filadelfii. Niemcewicz chory był. Rana, jaką otrzymał w nieszczęśliwej bitwie Maciejowickiej odnowiła się, wywołując silną podagrę, jednakże mimo cierpienia pamiętał stokroć więcej o nieszczęśliwym, a bohaterskim Kościuszce, niż o sobie.

Zabawiwszy pewien czas w Filadelfii, zmuszeni byli wyjechać ztamtąd,



Julian Ursyn Niemcewicz.

febra bowiem żółta, jaka wybuchła tam, skłoniła ich do opuszczenia gościnnego miasta i udania się do New Yorku, zkąd jednak po dwutygodniowej bytności powrócili nazad, podróżując trochę i czekając póki grasująca, a groźna choroba nie minie. Jakoż zabawiwszy aż do grudnia w New-Brunswicku, w gościnnym domu państwa White i poprawiwszy się cokolwiek na zdrowiu przybyli znów do Filadelfii, gdzie postanowili przepędzić zimę, co też i uczynili.

Niemcewicz zawiązał wtenczas dużo znajomości, rozszerzając coraz więcej koło amerykańskich stosunków, a przyjemny, wykształcony, obyty, zjednywał sobie szerokie zastępy przyjaciół, wnikając i rozpatrując się w nowych dla niego warunkach....

W takich okolicznościach czas leciał jak na skrzydłach i tułacze polscy ani spostrzegli się kiedy zaczęła się wiosna, drzewa umaiły się świeżą zielenią, a poddmuchy wiatru, jakie wionęły z Europy przyniosły wieści o wojnie i nadziejach Polski....

Kościuszko pospieszył do Europy. Łudził się nadzieją dźwignięcia ojczyzny z niewoli i upadku... Niemcewicz pozostał sam, a pozostał w zupełnie nieszczególnych warunkach. Skrom-

ne zasoby materyalne, jakie posiadał, wyczerpały się; nie wykształcony fachowo nie mógł jąć się żadnej pracy, któraby była w stanie zapewnić mu egzystencyę; biedził się więc i trapił niemało położeniem swojem, aż nareszcie, otrzymawszy pewną, niewielką zresztą kwotę, postanowił zwiedzić prowincye Stanów Zjednoczonych, korzystając z rzadkiej sposobności, aby poznać dziwy „drugiego świata.''

Wyruszył więc do Nowego Jorku, stąd rzeką Hudson udał się do Albany, aby stamtąd zagłębić się dalej we wschodnio - południowe prowincye, zwane nową Anglią. Zabawiwszy parę dni w Bostonie gdzie podziwiał kościół „budową zupełnie gotycką wzniesiony'' powrócił znów do Albany, ztamtąd zaś zwiedził prowincyę Massachuset, Rhode Island, Conecticut, aż ujrzawszy puste nieomal dno woreczka swojego, pomyślał o zakończeniu przyjemnej wędrówki. Jakoż odwiedziwszy generała Washingtona i zabawiwszy parę tygodni w siedzibie jego Mount-Vernon, powrócił do Elizabethtown, niewielkiego miasteczka, siedliska emigrantów francuskich. Długa jednak podróż do szczętu wyczerpała fundusze Niemcewicza, znów więc zaczęły się kłopoty i troski, do których przyłączyła się jeszcze i tęsknota za ojczyzną... Położenie było arcy-niemiłe; należało ograniczać się, aby za skromną sumkę, jaka pozostała z podróży, żyć do czasu otrzymania zasiłków jakich spodziewał się Niemcewicz z Polski.

Mimo takich nieszczególnych warunków nie tracił pogody umysłu, a nająwszy skromną izdebkę u krawca Rieversa, jadał z nim i z czeladnikiem jego wspólnie obiady, kupował sam drwa na opał, rznął je, zajmował się drobnemi sprawami swojego ubogiego gospodarstwa... i oczekiwał lepszej doli. Jakoż w parę tygodni otrzymał 250 czer. złotych, a zabezpieczony takim sposobem na pewien czas od codziennych trosk i kłopotów, zaczął bywać i prowadzić więcej towarzyskie życie w Elisabethtown, nie mogąc znieść pustki, jaką odczuwał na obczyźnie. Szczera, otwarta natura Niemcewicza, na wskroś literacka potrzebowała ludzi, ciepła, ciągłej wymiany zdań i myśli, tem więcej iż gryzła go ciągle nietylko tęsknota, ale i niepokój o losy rozszarpywanej ojczyzny...

W tym czasie, t. j. około roku 1798 poznał Niemcewicz niejaką panią Kean, młodą i nadobną wdowę po przyjacielu Kościuszki. Przyjacielski z początku stosunek, jaki trwał między Niemcewiczem, a piękną wdową, przemienił się wkrótce u tej ostatniej w miłość, co też, amerykańskim zwyczajem, pierwsza mu wyznała. Niemcewicz „podziękował czule, nie naglił jednak'' delikatna bowiem i subtelna jego natura obawiała się, by nie posądzono go o interesowność, pani Kean bowiem, prócz wdzięków, posiadała przy tem i dość znaczny majątek.

Taki stan pół-narzeczeństwa trwał dwa lata, aż do czerwca roku 1800, w którym Juljan Ursyn Niemcewicz poślubił panią Kean z domu Lewingston.

Życie w nowych warunkach, wolne od męczącej troski upłynęło jak miły, błogi sen... Pani Kean - Niemcewicz kupiła od doktora Clarke niewielki domek z ogrodem i łączką, a choć skromny i nieimponujący rozmiarami, jednak posiadał on w sobie urok zacisza i spokoju... Domek składał się z dwóch niedużych pokojów na dole, tyluż na górze, z maleńkim gabinetem, kuchnią, i ze stajenką na parę koni i krowę.

Niemcewicz, zawsze czynny, energiczny, żywy nie mógł pędzić bezcelowego życia, postanowił więc też stać się wzorowym gospodarzem posiadłości odziedziczonej niejako przez ożenienie się swoje. Uprawiał ogród, siał, kopał, sprowadzał nasiona, żął i kosił, i w istocie doprowadził niewielkie gospodarstwo do kwitnącego i wzorowego stanu.

W takich to warunkach, wśród pracy, trochę na zajęciach literackich, znów ubiegły dwa lata gdy naraz latem w roku 1802 Niemcewicz otrzymał nagłą wiadomość o śmierci ojca swojego, z wezwaniem, aby przyjechał dla uregulowania materyalnych interesów familijnych. Wiadomość ta, związana z wyjazdem do kraju, do tego kraju, za którym Niemcewicz zawsze tęsknił, poruszyła w nim wszystkie dawne uczucia; jakkolwiek więc żona jego opierała się cokolwiek wyjazdowi, bojąc się, ażeby nie spotkała go przykra jaka „niespodzianka,'' jednak Niemcewicz w końcu lipca wyruszył z Ameryki, a jadąc na Londyn, Hamburg, Berlin, w początkach października stanął w Warszawie. Jakich doświadczył uczuć po tyloletniej niebytności w stolicy, łatwo i trudno zarazem wytłomaczyć sobie... Wyjechawszy w Brzeskie do brata, odwiedzając rodzinę i przyjaciół, chłonąc w siebie wszelkie wiadomości, wrażenia, wieści, zajmując się interesami, jakie zostały po śmierci ojca, dzielił Niemcewicz czas między dawno niewidzianą rodzinę, a życzliwych, przyjaciół i znajomych. Zimę spędził częścią w Krakowie, częścią w Puławach u Radziwiłłów. Ma się rozumieć, iż trudno było rachować w takich warunkach dni, to też ani spostrzegł się Niemcewicz jak przeleciał rok i zbliżał się drugi od chwili wyjazdu.

Należało pomyśleć o powrocie, tym więcej, iż zaczynało Niemcewiczowi brakować cichego domku w Elisabethtown... Z niewielką zaś schedą, jaka została mu się po ojcu, bo z 4,000 czerw. złotych w końcu marca 1804 roku wyjechał z Polski, jadąc na Berlin i Paryż, zkąd po dwumiesięcznym zatrzymaniu się wyruszył do Ameryki. Pod koniec października przybył Niemcewicz powtórnie do przybranej swojej ojczyzny. Stęskniony do poczciwej żony, do domowego zacisza, z radością i czule witał małżonkę i zacnych, amerykańskich przyjaciół. Nie trafił już jednak na starą siedzibę, żona jego podczas nieobecności męża wydzierżawiła mały domek najmując w zamian większy i piękniejszy.

Radość panowała obopólna. Niemcewicz nie zapomniał o nikim prawie, wioząc każdemu z Polski gościniec, żonie zaś „piękną szubę z materyi tureckiej, na tle zielonem złote kwiatki rzucone, szal piękny, naszyjnik z mozajki, zegar i lichtarze bronzowe.'' Po pierwszych dniach bezustannych opowiadań, wypytywań się i powitań życie na nowo zaczęło wkraczać w zwykłą kolej pracowitego żywota...

W nowym domu znalazł Niemcewicz wiele dogodności, których mały domek ze względu na szczupłe pomieszczenie nie mógł dać... Miał tu obszerny gabinet specyalnie przeznaczony do czytania i pisania, to też korzystając, zabrał się wkrótce do pracy, by skończyć zaczęty poemat.

W zimie wybrali się państwo Niemcewiczowie z odwiedzinami do brata pani Kean, Filipa Livingston, jednego z najznakomitszych obywateli Stanów Zjednoczonych i prezydenta banku w New Jorku, na wiosnę zaś roku 1805 wyruszyli znów oboje w dłuższą podróż, również z celem odwiedzenia rodziny żony. W trakcie podróży zachorował Niemcewicz na grasującą i pospolitą tam febrę, tak jednak niebezpiecznie, iż trzeba było wracać do Elisabethhown i w parę tygodni dopiero potem dokończył rozpoczętą podróż.

Po długiej i przyjemnej wędrówce powrócili Niemcewiczowie do domu i znów życie szło spokojnie, ładem, nie mącone żadnemi wielkiemi sensacyami. Niemcewicz bądź to pracował około gospodarstwa, bądź też pisał, marząc o Polsce, losach jej, przyjaciołach i przebytych dniach niedoli.

Naraz jesienią 1806 roku zaczęły

przedostawać się głuche z początku wieści, potem coraz głośniejsze, szersze o wojnie między Napoleonem, Prusami i Moskwą. Gwiazda Bonapartego świeciła wtenczas pełnym jeszcze blaskiem...

Polska wierząc w szlachetność cesarza Francuzów wystawiła w przeciągu dwóch miesięcy 40 tysiączną armię, gotując się do walki o odzyskanie zagrabionej ojczyzny.

Wiadomość ta zelektryzowała Niemcewicza. Na wieść, że Ojczyzna powstaje do walki, że nadzieja wolności zaczyna przedzierać się przez mroczne cienie długotrwałego odrętwienia, nie mógł Niemcewicz opędzić się myśli powtórnego wyjazdu.

Ale żona jego, chora i przywiązana do męża, opierała się rozłące. Nie znając ani stosunków Europejskich, ani języka, nie mogła zdecydować się, aby towarzyszyć mężowi, Niemcewicz jednak pokonał te wszystkie nastręczające się trudności.

W słowach pełnych zapału i uniesień przekonał żonę, że jako dobry syn ojczyzny swojej niema prawa siedzieć z założonemi rękoma na drugiej półkuli, gdy tam rodacy jego podejmują walkę o świętą sprawę wolności! Poparty przez kuzyna żony swojej, Rudeforta, zdołał nakoniec przekonać żonę, a otrzymawszy świadectwo poddaństwa amerykańskiego, po długich i serdecznych pożegnaniach, ze łzą w oku żegnał cichą siedzibę, w której znalazł to ciepło domowego ogniska, jakiego tak bardzo brakowało mu na dalekiej obczyźnie.

Wyjeżdżał z przeczuciem, że nigdy nie powróci już do cienistego ogródka i pod strzechę amerykańskiego domu...

Przeczucia nie myliły...

Czesław Ksawery Jankowski.



Z dziejów upadku Prus.

(Wspomnienie historyczne).

Bitwa pod Iławą (Eylau)[1] dnia 8-go lutego 1807 r.

VI.

Bitwa pod Iławą miała być równie zgubną dla Rosyan, jak bitwa pod Jeną była dla Prusaków[2]). Cała siła francuskiego wojska, zwrócona na lewe skrzydło rosyjskie obejść je miała; ale adjutant głównego sztabu wysłany do marszałka księcia Pontecorvo, aby go uwiadomić o poruszeniach wojska, został schwytany, i depesze przy nim znalezione wyjawiły dowódcy wojsk rosyjskich Beningsenowi plany Napoleona.

Ze świtem dnia 7. lutego awangarda francuska posunęła się naprzód, i spotkała ariergardę nieprzyjacielską pomiędzy lasem i miasteczkiem Iławą (Eylau). — Broniące się w niem pułki piechoty rosyjskiej zostały wyparte, Francuzi weszli do Iławy, gdzie rozpoznali, że nieprzyjaciel zajął pozycyą za miastem.

O małe ćwierć mili za Iławą, jest wzgórze, broniące przejścia do równiny. — Francuzi chcąc je opanować ze stratą aż do Iławy odparci zostali. — Kilka pułków rosyjskich opanowało kościół i cmentarz, i najuporczywiej w nich się broniło; aż nareszcie po morderczej walce, stanowisko to o 10 wieczór przez Francuzów zajęte zostało. — Dywizya generała Legrand przepędziła noc przed miastem; po prawej stronie dywizya generała Saint-Hilaire, po lewej korpus marszałka Augereau. Marszałek Davoust maszerował ze swoim korpusem, w zamiarze obejścia miasta Iławy i oskrzydlenia lewego boku nieprzyjaciela w razie gdyby ten szyku swego nie zmienił. — Marszałek Ney maszerował również, aby obejść prawe skrzydło nieprzyjacielskie. — W tym stanie rzeczy noc przeszła.

Ze świtem dnia następującego Rosyanie zaczęli atakować żwawym ogniem z dział miasto Iławę i dywizyą Saint-Hilaire. Napoleon udał się na pozycyą przy kościele, której dzień wprzód Rosyanie z taką uporczywością bronili. — Korpusowi marszałka Augerau dał rozkaz postąpić naprzód, małe wzgórze osadził 40 działami gwardyi artyleryi, i w tej chwili z obu stron straszliwy ogień z dział rozpoczęto. —

Rosyanie rozstawieni byli kolumnami o pół strzału karabinowego, żaden więc ich strzał nie chybiał, i już mieli obejść lewe skrzydło francuskie, kiedy fizylierzy marszałka Davousta w tyle armii rosyjskiej słyszeć się dali. — W tymże czasie korpus marszałka Augereau, posuwał się kolumnami ku środkowi armii nieprzyjacielskiej, ażeby ta wszystkich sił przeciwko marszałkowi Davoust obrócić nie była w stanie. Z lewej strony dywizya generała Saint-Hilaire postępowała naprzód, i oba korpusy miały maszerować w celu złączenia się z korpusem marszałka Davoust. Ale co tylko korpus marszałka Augereau i dywizya Saint-Hilaire z miejsca ruszyły, gęste kłęby śniegu, w którym o dwa kroki zaledwie widzieć można było, oba wojska zakryły. — W tej pomroce kierunek marszu został chybiony, marszałek Augereau posunął się zbyt na lewo; pięciotysięczna kolumna Rosyan przeszła obok niego, i zbliżała się ku miastu. — Napoleon wysłał przeciwko nim generała Dorsenne z oddziałem gwardyi, a nawet i szwadron gwardyi, który miał przy sobie. — Zgubna ta pomroka trwała pół godziny; nareszcie, przeczyściło się powietrze. Murat widząc ten niepomyślny stan rzeczy, wysłał generała brygady Bruyere z dwoma pułkami przeciwko owym kolumnom, i na czele reszty kawaleryi, wraz z marszałkiem Bessieres na czele gwardyi, uderzył na armią nieprzyjacielską. — Świetny ten obrót, jeden z najśmielszych, jakie nam sztuka wojenna wskazać może, wydarł Rosyanom ich ko-



Pole bitwy pod Iławą (Eylau), stoczonej dnia 8-go lutego 1807 r.

[1]) *Iława — Preusisch-Eylau* — miasto powiatowe w obwodzie rejencyjnym królewieckim.

[2]) Patrz artykuły p. t. „Z dziejów upadku Prus", zamieszczone w numerach: 41, 42, 44, 48 i 50 r. z.

rzyści, ale jeszcze nie dał zwycięstwa Francuzom, bo trzecia linia piechoty rosyjskiej oparta o las broniła się z męstwem rozpacznem. Tymczasem marszałek Davoust zachodził tył nieprzyjacielowi; ale gęsty śnieg, który po kilkakroć dnia tego zakrył pole bitwy, utrudnił pochód jego korpusu i był na przeszkodzie wszelkiemu ogólnemu współdziałaniu oddzielnych kolumn. Dopiero gdy marszałek Davoust opanował wzgórze, długo niepewny los bitwy, przechylił się na stronę Francuzów, i Rosyanie cofać się zaczęli. Korpus pruski, który przez cały dzień walczył z korpusem marszałka Ney, również nad wieczorem do odwrotu zmuszonym został.

Obie strony przepisywały sobie zwycięstwo, obie cofnęły się, z tą wprawdzie różnicą, że Francuzi zostali panami placu bitwy, i dopiero po kilku dniach zaczęli się cofać po za Pasargę. — Oprócz tego, Francuzi tem więcej mieli prawa sobie przypisywać zwycięstwo, że zaczepne poruszenie Rosyan przeciwko Toruniowi, aby zajść tył armii francuskiej, w skutku bitwy pod Iławą, wykonanem być nie mogło.

Obie strony z największem męztwem walczyły, i obie niezmierne poniosły straty. — Francuzi stracili dnia tego generałów brygady Corbineau i Dalman, i generała dywizyi d'Hautpoult, który później umarł z ran w tej bitwie odniesionych.

Dnia 9. lutego około południa cesarz objeżdżał plac bitwy. Głęboki śnieg okrywał pola, a długie rzędy trupów, rannych, i szczątków broni oznaczały stanowiska każdego batalionu. — Co krok zatrzymywał się cesarz przy rannych, wypytywał, pocieszał, i wszelkiej im kazał dostarczać pomocy. — Nieszczęśliwe te ofiary straszliwej bitwy w oczach jego opatrywano. Rosyanie, zamiast śmierci, której oczekiwali, znalazłszy szlachetnego zwycięzcę, padali przed nim na ziemię, lub na znak wdzięczności, omdlałe ku niemu wyciągali ręce.

* * *

W sprawie wykonania obrazu bitwy pod Iławą otworzono konkurs, i 52 szkiców publicznie wystawione zostały w wielkiej galeryi Muzeum paryskiego. Szkic malarza Grosa otrzymał pierwszeństwo, bo sławny ten artysta, jak zwykle, po mistrzowsku wykonał obraz, którego reprodukcyę zamieszczamy.

Widok tego obrazu jest zasmucający: zdaje się, że jesteśmy przytomni tej bolesnej scenie. Wykonanie jego wyborne, koloryt silny, głowy pełne wyrazu. — Cesarz nakoniec otoczony marszałkami Davoust, Soult, Bessieres, Murat i Berthier, i generałami Caulaincourt, Monton, Gardanne i Le Brun, zatrzymuje się przed żołnierzem litewskim, któremu chirurg Persil nogę opatruje.



Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

Powiat Będziński.

(Ciąg dalszy).

Koziegłowy należały do dawnego księstwa Siewierskiego. Powstała tu wieś w roku 1106, założona przez Drogosława. Kazimierz II. Sprawiedliwy, za rozboje, spełniane przez właścicieli, odebrał im i oddał Mikołajowi herbu Lis, wojewodzie krakowskiemu. Ten wybudował tu zamek, z którego dziś niema nawet śladu, a jak twierdzi Niesiecki, że od niego rodzina Giebałtowskich pochodzi.

Dziedzic, Jan z Koziegłów, nadał w r. 1472 prawa miejskie, wydzielił pastwiska i lasy, i tym sposobem podniósł dobrobyt mieszkańców. Koziegłowy kupił Fryderyk, kardynał, królewicz polski, od Chrystyana Koziegłowskiego, podług innych zaś źródeł, majętność tę nabył Jan Konarski, biskup krakowski około r. 1520 od Giebałtowskich, i do dochodów biskupich przyłączył.

Biskup Samuel Maciejowski, kanclerz wielki koronny, w przywileju 1548 r., danym w Koziegłowach, wyraża — „że ponieważ zamek od lat wielu spustoszonym stoi, mieszkańcy mają go przyprowadzić do stanu pierwotnego, mają go umacniać, za co uwalnia się ich od robocizn."

Tenże biskup na prośbę burmistrza i rajców pozwala w r. 1550 wystawić ratusz na rynku i sądy w nim odbywać. Następnie zjeżdżają tu biskupi i zatwierdzają prawa dawniejsze.

Jędrzej Stanisław Załuski uniwersałem, wydanym w r. 1747, zabronił żydom mieszkać w miastach i wsiach, jak również wszelkiego handlu, propinacyi i t. p., a prawo to rozciąga się na całe ks. Siewierskie.

Stanisław August wszystkie przywileje mieszkańców potwierdza dnia 27-go kwietnia r. 1797 postanawiając jeszcze — „że są wolni tak z pod juryzdykcyi zamkowej ks. Siewierskiego, jak również i od dworu koziegłowskiego, a mają tylko własne swoje miejskie sądy;" nadaje także wolne obieranie magistratu.

Miasto ma herb: trzy kozie głowy.



Cmentarz w Koziegłowach.

Każda z dwoma rogami, niżej dwie, a trzecia wyżej nad niemi. Głowy te są szarociemne, na polu brudnem. Paprocki, Bielski i Okolski wspominają, że przodek domu tego, bijąc się z nieprzyjacielem, jednym zamachem trzem razem głowy uciął, a na pamiątkę herb ten otrzymał. Od herbu poszło i nazwisko miasteczka.

W odległości półtory wiorsty od Koziegłów znajduje się wieś Koziegłówki, a w niej stary kościół z kaplicą i obrazem św. Antoniego Padewskiego, słynny cudami.

Wieś ma wygląd miasteczka. Domy duże, czasem o dwóch izbach i kuchni, stodółki i zabudowania gospodarskie toną w ogródkach owocowych, cała droga, przy której ciągnie się wieś, obsadzona wspaniałemi i piękne-

mi drzewami. Wszystkie zabudowania, każdego niemal włościanina, obwiedzione są dość wysokim murem z kamieni, układanych „na sucho" jeden na drugim. Z kamieni takich stawiają i zabudowania gospodarskie, gdyż materyału tego mają dużo na miejscu.

O Koziegłówkach pisze Paprocki, że założył je Drogosław w r. 1106; ponieważ jednak nie było tu wody, przeto dziedzic przeniósł swoją rezydencyę nad brzegi blizkiej rzeki i tam założył miasto Koziegłowy, a wieś, którą opuścił, nazwał Koziegłówkami.

W r. 1440 Krystyn Koziegłowski, kasztelan sandecki, zbudował mały kościółek murowany; do kościółka tego przybudowano kapliczkę i w niej umieszczono obraz św. Antoniego Padewskiego, malowany w Rzymie i poświęcony w r. 1568 przez Piusa V.



Wieś Koziegłowy.

Obraz ten przez długi czas przebywał w klasztorze Franciszkanów w Rzymie, dopiero w roku 1659 został sprowadzony przez miejscowego proboszcza ks. Andrzeja Znojeckiego. Obecnie, umieszczony pierwotnie w drewnianym ołtarzu, obraz pomieszczony jest w prześlicznym z czarnego marmuru rzeźbionym ołtarzu, który sprowadził w roku 1762 z Czerny od Karmelitów ks. Franciszek Orłowicz, kanonik kaliski, sekretarz królewski a od roku 1739 proboszcz tutejszy.

Obecnie parafia jest bardzo liczna, a kościół w żaden sposób nie może pomieścić modlących się; proboszcz w r. 1904-ym zaczął stawiać nowy kościół, w stylu Odrodzenia, który w roku następnym ukończono.

* * *

Pamiątki historyczne tak miasteczka, jak i kościoła parafialnego w Żarkach są ściśle związane z historyą klasztoru w Leśniowie. Wypada dodać, że były tu dwa kościoły — jeden parafialny. a drugi mały, położony przy trakcie wiodącym do wsi Jaworzniki. Po śmierci proboszcza ks. Rogalińskiego w roku 1717 parafia została przeniesioną do klasztoru OO. Paulinów w Leśniowie.

W roku 1838 został właścicielem Żarek z przyległemi wsiami — prócz wsi Leśniowa — Piotr Steinkeller, znany działacz na polu ekonomiczno-przemysłowo-handlowem. Wielkim nakładem przeistoczył i do wysokiej wartości podniósł dobra Żarki. Wzniesiono tu liczne fabryki, i różne zakłady, które wpłynęły na zwiększenie ludności, i dobrobyt mieszkańców. To też ludność tutejsza nigdy nie przestanie wspominać ze czcią, prawdziwego swego opiekuna i dobrodzieja .

Obecnie miasteczko Żarki, słynne jest z jarmarków, a zwłaszcza na św. Stanisława, który trwa dni ośm, zjeżdżają się kupcy z zagranicy, dla nabycia koni, a kupują tu nawet rasowe. Ludność miasteczka przeważnie — już jak wspomniałem — stanowią żydzi, i prowadzą bardzo ożywiony handel; wszystkie małe sklepiki w całym pasie, towar i potrzebne produkty, sprowadzają z Żarek, gdzie żydzi utrzymują duże hurtowne składy. Ztąd ludność, nawet z dalekich okolic, kupuje zboże do siewu, i w ogóle mąkę, kaszę i t. p. produkty niezbędne do życia.

W miasteczku jest sąd, apteka, szkółka miejska i fabryka tkacka.

* * *

Tuż za Żarkami, wśród lasów, a w okolicy więcej urozmaiconej i zdrowotnej, czego dowodzą wille dla letników — znajduje się wieś Leśniów, z kościołem i klasztorem dawniej OO. Paulinów.

Podług legendy, miał Władysław, książę Opolski, przybyć tu w czasie swej podróży, wioząc obraz cudowny na Jasną Górę — a że był zmęczony i spragniony, zatrzymał się. Wtedy dla podtrzymania sił jego, nagle wytrysło źródło wody ożywczej, a on zawdzięczając i przypisując to łasce i opiece N. P. Maryi, wystawił w tem samem miejscu figurę, która wkrótce zasłynęła cudami.

Akta kościoła w Leśniowie pod r. 1639 podają, że ks. Cypryan Jan Małachowski, pleban Niegowa, w ciężkiej niemocy od ludzi opuszczony, tu odzyskał zdrowie. Lubo i dawniej cuda się tu trafiały, ale odtąd miały być liczniejsze, dla tego coraz więcej napływał lud pobożny na uroczystość Najśw. Maryi Panny, mianowicie dnia 2 lipca.

Postawiono tu kościół murowany pod wezwaniem Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny, dość obszerny i piękny. Był filią kościoła parafialnego w poblizkiem miasteczku Żarkach, który jednak nie miał ani takiego uposażenia, ani takiej czci u ludu, jak kościół w Leśniowie.

Skłoniło to dziedzica wsi Kurozwęk Józefa Męcińskiego, kasztelana brasławskiego, że sprowadził tu Karmelitów, i straży ich powierzył cudowna figurę Najśw. Maryi Panny.

Niewiadomo jednak z jakiego powodu, po dwóch latach opuścili to miejsce. Postępek Karmelitów zmartwił Męcińskiego, ale zamiaru nie zaniechał, i postanowił oddać kościół innemu zgromadzeniu religijnemu — a wybór zostawił samemu Bogu. Uczynił ślub, że ten zakon sprowadzi do Leśniowa, z którego naprzód spotka kapłana lub braciszka. — Tegoż samego dnia przybył z Jasnej Góry, ks. Ludwik, Paulin, a Męciński tak się ucieszył, że zaraz objawił mu swoją intencyę, którą następnie wyraził w listach do prowincyała Izydora Krasuskiego i do przeora Jasnej Góry ks. Inocentego Pakorskiego dnia 23 lipca roku 1706. Wysłano też zaraz ks. Franciszka Chrzanowskiego z kilkoma zakonnikami, i kościół oddano w posiadanie zakonu.

Fundator dał cegłę na budowę klasztoru, dał wieś Postaszowice na utrzymanie, i obiecał cały swój majątek oddać klasztorowi, gdyż sam nosił się z myślą wstąpienia do Paulinów. Niespodziewana śmierć jego, która nastąpiła w roku 1710 w Radziejowie w jego majątku nie pozwoliła spełnić obietnicy. Dla Paulinów niespodziewana śmierć fundatora niepomyślnie wypadła, gdyż rodzina zmarłego pragnąc

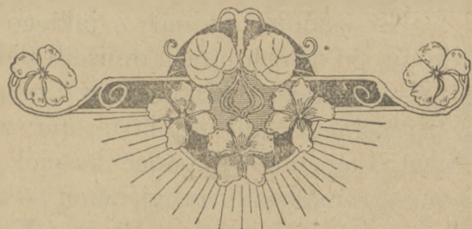
posiąść cały majątek, nie myślała spełnić obietnicy spadkodawcy.

Brat nieboszczyka, hr. Wojciech Męciński, starosta ostrzeszewski, uczynił tyle tylko, że dla pomnożenia dochodów klasztoru, przyłączył probostwo w Żarkach z prawem patronatu, i wyjednał na to zezwolenie Kazimierza Łubieńskiego, biskupa krakowskiego. Dopiero gdy tenże W. Męciński ciężko zachorował, zatwierdził w roku 1753 fundacyę nieboszczyka brata.

Niedługo jednak klasztor Paulinów zażywał spokoju. Prawem kaduka cała fundacya została zagrożona w roku 1778 przez skargę pułkownika Byszewskiego, który zyskał poparcie Adama Męcińskiego, starosty bodaczewskiego. Paulini sprawę w Lublinie przegrali. Los klasztoru teraz zawisł od łaski Męcińskich, którzy jednak dobra, sądownie sobie przyznane, zostawili w rękach Paulinów, a nawet w roku 1796 spisał akt urzędowy tenże Adam Męciński, kładąc warunek, iż w razie zniesienia klasztoru, wieś Leśniów przejdzie do jego rodziny.

Po zniesieniu klasztoru w r. 1864, wynikł w skutek tego proces z rządem, i ostatecznie Leśniów przysądzono właścicielowi dóbr Żarki, Karolowi Ordędze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Trzy Siostrzyce.

Gdy z łona niebios wypadnie grom
I z hukiem strasznym zapali dom, —
Gdy z ciepłą wiosną pęknie już lód
I rzeki strzelą powodzią wód; —
Gdy Twoje sioło nawiedzi mór
I śmierć ze życiem rozpocznie spór;
Gdy ślad swój czyni szeregeim mar,
Jęku boleści rozbrzmiewa gwar; —
Gdy jad niewiary zasiewa czart
I bada Ciebie, ileś Ty wart!
Gdy Twej niedoli urąga wróg...
O! pomnij, pomnij, — że żyje Bóg!
Wśród głodu, moru Ty w niego wierz,
Jego dobrocią swą dolę mierz!
Wszechmocny! rzeknie, a pierzchnie gad, —
Pan zatrze nawet nóg jego ślad!...

Choćbyś był obran z ludzkości praw,
Nadzieją w Panu swą duszę zbaw!
Helotą Ludów możeś już zwan, —
Wolność w okowach umiera z ran...
O! nie upadaj, — szanuj się sam, —
Jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam?
Skinie, a w gruzy rozpadnie świat,
A na tych gruzach wystrzeli kwiat
Biały, a zdobny w zielony liść,
Jak orchidei przecudna kiść...

Gdy samolubstwa chwyci Cię szał, —
Obojętności otoczy wał, —
Bacz-no, coś winien Ty Braci swej
I że jedyna ostoja w niej!...
Że wspólna miłość, to wielka moc!...
Poza nią tylko przepaści noc!...
Stokroć szczęśliwy, komu swe lice
Niebiańskie zwrócą cnoty-siostrzyce...

K. Paszliński.



Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Daruje czytelnik, że chcąc dojść do chwili powstania tak utartego u nas przysłowia jakiem jest „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“ muszę go zaprowadzić w odległe... bardzo odległe czasy, bo zajrzę do naszej historyi pod r. 1000.

Wiadomo nam, że usiłowania Chrobrego o uzyskanie korony w Rzymie, uświęcającej Ottonowską koronacyę w Gnieźnie, rozbijały się o niechęć i wpływ na papieży cesarza Henryka II. Podczas kilkunastoletnich wojen z tym monarchą — nie mogło być i mowy o tem, nawet pokój Budziszyński 1018 r. nie zmienił w tym kierunku polityki Henryka i dopiero w 6 lat później po śmierci tego ostatniego legalna koronacya doszła do skutku. Następcy Chrobrego Mieczysław II — fałszywie przez historyę Gnuśnym zwany, syn tegoż Bolesław, pomijany przez historyę jako panujący zbyt krótko, podczas mało znanych buntów i zamieszek, brat tego, a drugi syn Mieczysława Kazimierza Odnowiciela, z racyi prawdopodobnie pokrewieństwa i dobrych stosunków z niemieckim dworem koronowali się prędko po objęciu tronu. Dopiero Bolesław Śmiały wstępujący na tron siedmnastoletnim młodzieniaszkiem, z niewyjaśnionych dotąd przyczyn koronował się w kilkanaście lat po objęciu władzy i to wtenczas, kiedy będąc stronnikiem papieża Grzegorza VII przeciwko Henrykowi IV, całym wielkim ówczesnym wpływem kleru z pewnością był popierany. Ja sądzę, że początkowo młody wiek, a następnie podczas tych młodych lat wzmożona siła panów, — potomków czy to dynastów według ś. p. Piekosińskiego, czy to normandzkich zdobywców, byłych właścicieli dawnej Polski, czy Lachów, lub innych potomków najeźdźców, którzy dali pierwotne podwaliny ustroju państwowego, a których potomstwo wyłoniło z siebie owych późniejszych „dominos duces“ — magnateryę, przeszkodziło ówczesnemu aktowi koronacyi.



Cudowny obraz św. Antoniego w Koziegłowach. (Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“.)

Po ucieczce Bolesława z kraju z racyi przegranej partyi z tą magnateryą, popieranej już przez duchowieństwo z widomym naczelnikiem biskupem Szczepanowskim, Władysław Herman nawet po śmierci brata i syna jego, pełnego nadziei młodzieńca, Mieczysława, otrutego przez tych-że panów nie koronuje się, nie sądzę z obawy przed Niemcami, lecz że nie miał się na kim w domu oprzeć w tem przedsięwzięciu. Dzielny Bolesław Krzywousty, jako młodzieniec znalazł się w gorszych warunkach od wypędzonego z kraju stryja, nie tylko ze względu na panów, ale i na duchowieństwo, które nie omieszkało skorzystać ze śmierci

Szczepanowskiego i wszystkie ztąd możliwe zyski ściągnąć dla wzmocnienia swojej, a tem samem osłabienia władzy panującego, co w przymierzu z panami aż nadto mu się powiodło. A zauważyć tu muszę to, że osłabienie tem łatwiej następowało, że w ówczesnem duchowieństwie spotykamy już Polaków, potomków tych o swoje prawa upominających się panów. Takim sposobem musiała upaść najprzód królewskość, a następnie władza rozdrobnionych książąt, na rzecz duchowieństwa i magnateryi. Z owych czasów pozostały te przywileje dla tych dwóch stanów, w których nierzadko spotykamy się z nadaniami „jus ducale", które później Łokietek tak starannie darł i palił. Przypuszczam, że jeżeli ówcześni *„duces domini"* mieli czelność domagać się tak rozległych przywilejów, to musieli te swoje żądania opierać na jakichś tradycyach. I dla tego tu mi się pomimowoli przypominają „Dynaści" ś. p. Piekosińskiego, albo „Normanowie" Szajnochy.

W tych to czasach rozdrobnionej na małe księstwa Polski — zaczyna się coraz częściej odzywać bierny dotąd stan rycerstwa szlachty, t. j. tej, którą przywykliśmy z czasem nazywać drobną lub zagonową.

Byłem zawsze przekonania, że u nas początkowo za pierwszych Piastów osobno urabiały się dwa stany, które z czasem zlały się w jeden powszechnie zwany szlachtą. Do przekonania tego doszedłem raczej, że tak powiem, instynktownie, jak opierając się na jakich poważnych cytatach. Ale szczęściem i te się znalazły. Pierwszy nasz kronikarz, Gallus z początku XIII w., opowiadając czasy i urządzenia za Bolesława Chrobrego bardzo często i wyraźnie daje nam rozpoznawać dwa stany rycerstwa, a pisząc o krwawych zamieszaniach za Mieczysława II, mówi już namacalnie „albowiem powstali niewolnicy przeciwko panom, wyzwoleńcy przeciwko szlachcie." A więc byli i panowie i szlachta.

Ci panowie to stan pierwszy, to członkowie krewniacy panującej lub dawniej panujących rodzin, owi dynaści zajmujący stanowiska tych *„duces-palatini," castellani comites domini,* których już zastajemy w kronikach za Mieszka i Chrobrego. Stan drugi to towarzystwo rycerskie, na którem ciążył obowiązek służenia ojczyźnie rycersko z bronią w ręku. Pierwszy stan to rada dwunastu przy Bolesławie Chrobrym; zwyczaj przyjęty według Szajnochy od Normanów, którzy byli czołem — najdoświadczeńszymi krewniakami panującej rodziny. Ci byli przy boku panującego, młodsi, mniej doświadczeni, lecz za to mężniejsi, silniejsi — byli dowódcami większych i mniejszych hufców wojennych, wreszcie dowódcami kasztelanów, chorążymi, komornikami, i t. d.

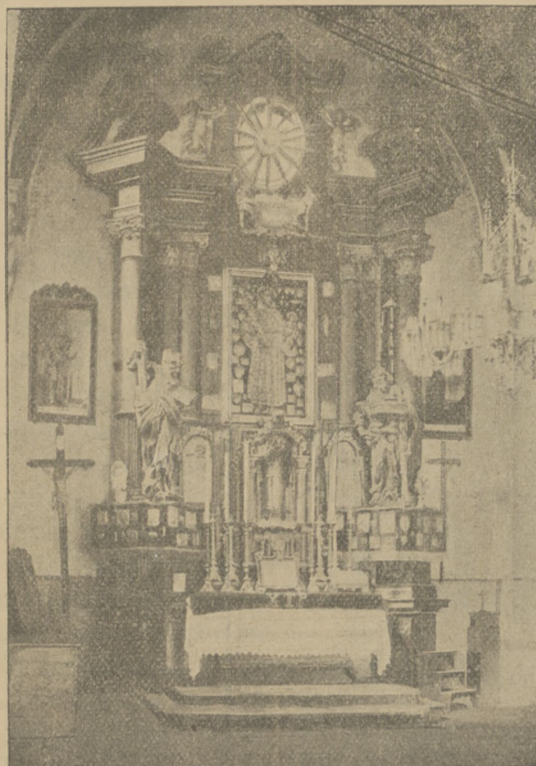
W miarę upadku i zubożenia rodziny pierwszego stanu, członkowie jej, przechodzili do stanu rycerskiego, szlachty. Z jakich warstw społecznych rekrutował się stan drugi i w jaki sposób, jest to jeszcze nierozwiązanym problematem o którym pisano niewiele a w tem co napisano podają nam ją już gotową nie dociekając, zkąd się wzięła.

Wracając do rzeczy — powiem tylko, że dla mnie starożytne rycerstwo, to synonim drobnej hodaczkowej szlachty, która będąc właśnie tem rycerstwem, miała owe po wiek wieków niezaprzeczone prawo noszenia szerpetyny przy boku. O tem swojem prawie nigdy nie zapomniała, gdyż ono wypływało z zaszczytnego przywileju stawania z bronią w ręku w obronie ojczyzny. Najdzielniejsi, mężni, jednem słowem wybitni w tym stanie, zdobywszy sławę, majątek, a nakoniec urzędy wyższe — przechodzili do stanu pierwszego. I to był pomost, jaki się między tymi dwoma stanami z czasem coraz więcej wytwarzał. Przykład takiego wypadku podaje nam nieoceniony Gall w swojej kronice, gdy mówi, jak to Kazimierz Odnowiciel w bitwie z Masławem, kiedy go koń uniósł w nieprzyjacielskie szeregi, byłby niechybnie zginął „gdyby nie któryś, nie ze szlachty rodowej, lecz z nieosiadłego na roli rycerstwa, w porę z pomocą nie nadbiegł, za co temuż Kazimierz potem nagrodził, iż zwierzchność grodu mu nadał: a w godności pomiędzy rzędy szlachty zaliczył."

Tutaj także nadmienić muszę, że owe krwawe bunty i zamieszki po Mieczysławie II-gim bez wątpienia najsrożej dotknęły ówczesnych domines — a tem samem prawdopodobnie najwięcej ich wówczas zginęło, więc Kazimierz, wróciwszy do kraju, oparł się przeważnie na pomocy rycerstwa szeregowego, czego poniekąd powyższa nagroda dowodzi.

Drobna szlachta czuła, że jej się krzywda dzieje od stanu comesów. Jednakowy mieli zaszczytny przywilej zostawania z bronią w ręku w obronie ojczyzny, a o ileż mniejszy zbierała plon z wojny — a cóż dopiero podczas pokoju, nie biorąc żadnego udziału w rządach — z których pospołu ciągnęli korzyści książę i comites.

To też widzimy jak chętnie ta szlachta korzysta z każdej sposobności, aby stając się pożyteczną, niezbędną panującemu zdobyć sobie jak najwięcej praw przysługujących pierwszemu stanowi. Historycy aż nazbyt często wyrażają się: Łokietek powołuje drobną szlachtę do Chęcin, Jagiełło zwołuje na zjazd w 1404 r. o wykupienie ziemi Dobrzyńskiej zastawionej Krzyżakom przez Jana króla czeskiego, Kazimierz Jagiellończyk opiera się na drobnej szlachcie i t. d. — zapominając a raczej nic nie zwracając uwagi, że te powoływania i opierania na nic by się nie zdały najserdeczniejszym pragnieniom tej szlachty, o której za tak jeszcze energicznego panowania



Ołtarz z czarnego marmuru w kościele w Koziegłowach.
(Patrz artykuł p. t. Z wędrówki po Królestwie Polskiem.)

jak Zygmunta Starego w r. 1535, kanclerz Chojeński pisze do księcia pruskiego, jeżeli myślisz, że król szlachtę poskromni — bardzo się mylisz.

T. Ch.

(Dokończenie nastąpi).



Nasz język.

Nasza polska mowa najściślej łączy nas wszystkich. Po tej polskiej mowie poznaje na obczyźnie Polak Polaka, ona łączy wszystkie stany, ona zbliża księcia do robotnika, ona sprawia, że ciągle sobie przypominamy, iż jednym byliśmy i jesteśmy narodem. Ta nasza mowa polska jest z wielu względów wielkiej czci i poważania godną.

Gdy książę Lech, około roku 500-go po Chrystusie, zakładał pierwsze państwo polskie w Gnieźnie, już mówił po polsku. „Niech żyje Piast!“ — wołali praojcowie nasi, gdy rządnego kołodzieja z nad Gopła wybierali sobie na księcia — w języku polskim głosili pierwsi misyonarze za Mieczysława wiarę chrześciańską naszym przodkom; — w języku polskim wydawał wyroki i prawa wielki nasz król Kazimierz, królem chłopów nazwany, dla swego ojcowskiego serca dla ludu; — po polsku nawoływali się w bitwie rycerze nasi, gdy przed wieki bronili chrześciaństwa od Turków i Tatarów. — Po polsku mówił ten kmieć polski, który przez długie wieki wszystkie stany żywił i który był zawsze wzorem pracowitości i jest podstawą naszego bytu narodowego; po polsku pisali liczne dzieła nasi poeci i powieściopisarze i świat niemi zachwycali i budowali; po polsku modlili się Święci i Święte nasze i cuda czynili w tym języku. W polskiej mowie wzywali Boga męczennicy nasi; po polsku chcą mówić do Boga dzieci nasze niewinne, nad których cierpieniami lituje się świat, mający jeszcze Boga w sercu, więc język nasz polski, to język wielkich, potężnych a dobrych królów — to język ludzi bogobojnych — to język Świętych.



Kościół parafialny w Żarkach. (Patrz artykuł p. t. Z wędrówki po Królestwie Polskiem.)

A przytem piękny, dźwięczny to język, — język tak śliczny, iż w kraju obcym cudzoziemiec słysząc go, staje i pyta się: jakim to językiem tak miłym dla ucha, rodacy nasi mówią?

Więc zacny i poszanowania wszelkiego godny skarb — ten język polski.

Choć Ojczyznę podzielono na trzy części, w ciele został duch, została krew, która je obiega i ożywia, a tym duchem ,tą krwią, to język nasz. On sprawia, że dziś, po przeszło stu latach, gdy spotkają się Polacy z Poznania, Warszawy i Krakowa, mówią do siebie jak bracia, jak jednej matki dzieci.

Język nasz, to drogi spadek po ojcach, to życie narodu naszego. Kochajmy go, mówmy nim, dbajmy o czystość i piękność języka naszego polskiego.



Kulawe widmo.

Przekład z francuskiego.

(Dokończenie.)

Wyciągnięte rysy jej twarzy wyrażały przerażenie, lecz poza tem dostrzegłem w nich coś więcej... Co to było?...

— A cóż się tutaj dzieje?

Pani Maillard nie kazała się długo prosić i zaczęła mówić głosem cichym.

— Doktorze... mój mąż... który umarł na moich rękach, za którego trumną szłam sama... mój mąż... pokazuje się tutaj...

I opowiedziała mi szczegóły, które w zupełności zgadzały się z tem, co mówił Feliks. Według niej Maillard chodzi w nocy po domu i kilka razy, kiedy wskutek duszności musiała wstawać, widziała wyraźnie jego postać w ogrodzie.

Roześmiałem się i próbowałem upewnić panią Maillard, że wszystko to jest owocem jej bujnej wyobraźni.



Kościół w Leśniowie. (Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“).

— Nie, naprawdę, co pan myśli o tem? Czy pan nigdy o tem nie słyszał? Czy nikt panu o tem nie opo-

wiadał? — pytała, patrząc mi badawczo w oczy.

Chciałem zmienić temat rozmowy, lecz ona wracała ciągle do swego.

Nagle w ogrodzie rozległ się wystrzał...

Pani Maillard zerwała się na równe nogi z okrzykiem: ratujcie! i w tej chwili zemdlona upadła na podłogę.

Dawszy jej pierwszą pomoc, zadzwoniłem na kucharkę. Na pytanie moje, co się stało, opowiedziała mi, że Feliks strzelał w ogrodzie do jakiegoś złodzieja, lecz nie ranił nikogo.

Przyszedłszy do siebie i dowiedziawszy się o tem, co zaszło, pani Maillard dopytywała się uparcie:

— Czy pan jest pewny... że nie zranił nikogo?...

— O z pewnością, łaskawa pani! Prawdopodobnie nie było nikogo i Feliks strzelił do cienia. Zresztą on sam pani opowie o swojej omyłce, albo o swej niezręczności.

Chora uspokoiła się i zapragnęła pozostać sama. Przed chwilą taka rozmowna — teraz widocznie chciała się mnie pozbyć.

Feliks odprowadził mnie do drzwi.

— Panie doktorze! — szeptał — widziałem „go'' znowu. To z pewnością pan Maillard, tylko jakiś inny, szary i we mgle. Wycelowałem doskonale, ale znowu znikł, tak samo, jak wczoraj.

Nazajutrz rano siedziałem nad analizą krwi chorych na malaryę, kiedy przed domem zatrzymała się dorożka i do pokoju wszedł posłaniec. Przysłał go niejaki pan Martin, który potrzebował mojej pomocy.

Martin? Było to nazwisko zupełnie mi nieznane. Może to który z moich dawniejszych profesorów wzywa mnie, chcąc prosić o zastępstwo?

Włożyłem palto i pojechaliśmy.

Minąwszy wiele wązkich i ciasnych zaułków, zatrzymaliśmy się przed małym domkiem.

Wszedłem na czwarte piętro i, otworzywszy drzwi do pokoju, ujrzałem jakiegoś pana, który wstał na moje powitanie.

— A, kochany kolega... pozwoli pan sobie przedstawić się, jestem doktor... Dziś rano wezwano mnie tu do niejakiego pana Martin, na którego tej nocy napadli jacyś złoczyńcy. Kula trafiła w kość pacierzową... brzydki wypadek... paraliż postępowy. Kolego — mówił szeptem — właściwie nie można nic pomódz. Na prośby chorego posłałem po pana. Teraz zostawię was samych.

Poszedłem za doktorem.

W malutkim pokoiku, na żelaznem łóżku leżał tęgi mężczyzna; odwrócił ku mnie swoją wielką głowę z bladą jak płótno twarzą i krótką brodą i ja zaledwie mogłem powstrzymać się od okrzyku: przedemną leżał Arystydes Maillard!

Kiedy drzwi za doktorem zamknęły się, chory zaczął mówić cichym, przerywanym głosem:

— Doktorze, wkrótce nie będę już mógł ani mówić, ani słuchać... Jak się ma moja żona?... Prawda, że nic poważnego jej nie grozi?

Nie wiedział o istocie choroby swojej żony — upewniłem go, że pani Maillard nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— A teraz niech pan posłucha. Po wyjeździe pana, kiedy byłem już prawie zupełnie zdrów, nagły spadek papierów pogrążył mnie w straszną ruinę. Z dnia na dzień groziła mi straszna nędza. Wtedy pomyślałem sobie:

— Gdyby mnie tyfus nie oszczędził, dziś żona moja otrzymałaby dużą sumę w towarzystwie ubezpieczeń, bo jestem tam ubezpieczony na życie... Ta myśl poddała mi inną i zmusiłem żonę do wykonania jej. Nie daleko od naszego domu umarł właśnie jakiś cygan, koszykarz i syn jego za 200 franków zgodził się przenieść ciało ojca do naszego domu. Wypadkowo nieboszczyk miał pewne podobieństwo ze mną. Jego to zgon poświadczył doktor, jego pochowano zamiast mnie. Co zaś do naszej służby, to ona widziała mnie samego — odegrywałem rolę nieboszczyka!... Byłem tak chudy i blady, że nie trudno mi było udawać umarłego.....

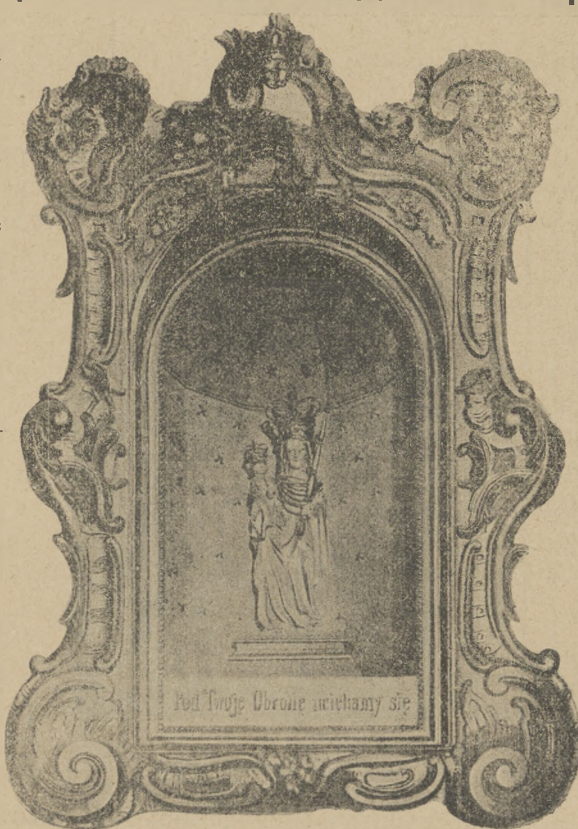


Figura cudowna N. M. P. w Leśniowie.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem".

Pomimo działalności eteru, który dałem dla otrzeźwienia Maillardowi, musiałem przybliżyć ucho, bo chory już chrypiał.

— Żona odwiedzała mnie... ale kiedy ona zachorowała, ja zacząłem chodzić do niej, przebrawszy się w szarą bluzę. Goniliście mnie w chwili, kiedy właśnie wyskoczyłem przez okno. Wyszedłem z ogrodu przez małą furteczkę, ukrytą w krzakach. Uciekając przed wami, niechcący trafiłem na cmentarz i wtedy przyszło mi do głowy udawać upiora... Ponieważ często chadzałem na swój grób domniemany, odnalazłem go wtedy z łatwością i wcisnąłem się pomiędzy dwie, leżące blisko siebie mogiły. O! wolałem zabić się na śmierć, niż... Poznałem pana po głosie... Nie domyślaliście się nawet, że znajduję się dwa kroki od was. Na drugi dzień posłałem telegram do żony, radząc jej zburzyć wasze podejrzenia opowiadaniem o ukazywaniu się widma mego... Wczoraj wieczorem czekałem w ogrodzie, aż pan wyjdzie, ażeby pójść do niej, kiedy nagle ktoś we mnie strzelił. Ledwie dociągnąłem się do dorożki i tutaj wymyśliłem historyę o napadzie zbójców. Obawiając się, że pan się domyśla wszystkiego, wezwałem pana i proszę, abyś mi dał słowo, że zachowasz wszystko w tajemnicy... Czyż mógłbyś pan odmówić umierającemu?...

Nie namyślałem się — niedalekim już był ten dzień, kiedy pani Maillard nie będzie potrzebowała oszukiwać bogatego towarzystwa ubezpieczeń.

I dałem słowo honoru!

Obecnie mogłem opisać cały ten wypadek, bo od tego czasu minęło już dwadzieścia lat, a zresztą pozmieniałem wszystkie imiona i nazwiska.



Złote myśli.

Człowieku znaj siebie samego; — to jest jądro wszelkiej mądrości.

Sokrates.

* * *

Chcesz mnie osądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie!

Mickiewicz.

* * *

Żadnego towarzystwa, albo dobre towarzystwo — mówi pani

Edgeworth.

Nasze artystki.

Panna Dora i p. Lilla Mukułowska, pierwsza artystka-malarka, druga pianistka, nie są nieznane społeczeństwu naszemu.

Pannę Dorę Mukułowską przypomni sobie każdy, ktokolwiek o tej porze mniej więcej zwiedzał wystawę obrazów w Poznaniu. Krytyka przyjęła jej utwory z uznaniem i zapowiedziała młodej artystce piękną przyszłość.



Dora i Lilla Mukułowskie.

O pannie Lilli Mukułowskiej donoszą obecnie pisma, że zrezygnowawszy z bardzo korzystnej propozycyi koncertowania w Londynie — dla młodych artystów zagranica zawsze wydaje się większym rajem aniżeli kraj własny — grać będzie w piątek dnia 8-go lutego na starej sali bazarowej u nas w Poznaniu.

Rezygnacya z Londynu usposabia nas do młodej artystki sympatycznie. Londyn nie ucieknie — a kraj pierwszy ma prawo ocenić jej szkołę i jej zdolności.

Tutaj dodamy jeszcze kilka dat biograficznych. Panna Lilla Mukułowska jest istotnie jeszcze bardzo młoda. Ukończyła pięcioletnie studya u prof. Leszetyckiego we Wiedniu, z którego szkoły wyszli Paderewski i Śliwiński. Występowała dotąd raz we Wiedniu, a drugi raz w Berlinie. Pierwsze te występy przyjęte zostały przez takich znawców muzyki jak prof. Nikisch z Lipska z niekłamanym entuzyazmem. — Spodziewamy się, że młoda artystka i u nas dozna tego samego przyjęcia.



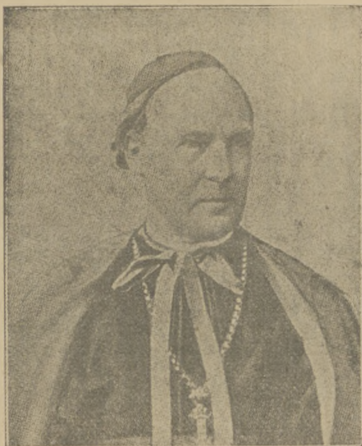
Kiedy człowiek ma przyodziewek, aby mógł wychodzić, pościel, aby mógł się przespać i stół, aby mógł pracować i kiedy ma tyle, aby nie łaknął — ma dosyć; mawiał *Józef Ressel.*

Z bieżącej chwili.

Kardynał Kopp.

Kardynał Kopp, książę biskup wrocławski, znany i głośny wróg Polaków, obchodził w tych dniach jubileusz swej pracy pastersko-germanizacyjnej.

Rząd pruski wiernemu swemu przyjacielowi urządził wielką owacyę. Z okazyi jubileuszu odbył się wieczorem pochód z pochodniami przy udziale około 2,000 osób; w tem były liczne deputacye i stowarzyszenia. Za pochodem szły cztery kapele muzyczne. Gmach klasztorny i wiele domów prywatnych było iluminowanych.



Kardynał Kopp.

Na podwórzu pałacu biskupiego przemówił do jubilata przewodniczący komitetu dr. Porsch; ks. Kopp podziękował za urządzoną mu owacyę, poczem uczestnicy pochodu się rozeszli.

Jako zastępca cesarza niemieckiego przybył na uroczystość minister oświaty dr. Studt, jako zastępca rządu austryackiego prezydent krajowy Śląska baron Heinold.

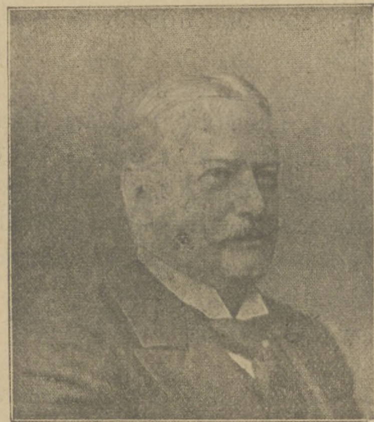
Tak czci rząd pruski tych, którzy mu pomagają w walce z Polakami.

* * *

Ks. Bülow.

Ks. Bülow, kanclerz państwa niemieckiego rozwiązał w końcu grudnia r. z. w imieniu cesarza Wilhelma II. parlament niemiecki z powodu nieuchwalenia przez większość parlamentu dla rządu Rzeszy 30 milionów marek dla wojska w koloniach afrykańskich i rozpisał nowe wybory.

O rezultacie nowych wyborów piszemy na innem miejscu. Podobno socyaliści ponieśli klęskę — piszemy podobno — bo to się wykaże dopiero przy wyborach ściślejszych.

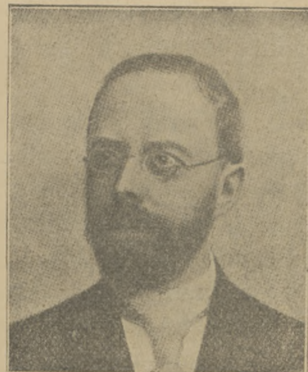


Ks. Bülow, kanclerz państwa niemieckiego.

W Berlinie w dniu wyborów — 25-go z. m. — tłum złożony z kilku tysięcy patryotów, na wiadomość o „rzekomej" klęsce socyalistów, około północy ruszył przed pałac kanclerza i zgotował mu wielką owacyę. Ks. Bülow ukazał się na balkonie i wygłosił przemowę, w której przypominając słowa Bismarcka, że należy tylko naród niemiecki wsadzić na siodło, a potem on sam już pojedzie, wezwał wszystkich, aby przy wyborach ściślejszych spełnili swoją powinność i pokazali światu, że naród niemiecki silnie siedzi w siodle i stratuje wszystko, co mu się przeciwstawi.

Czy optymizm kanclerza, przebijający się w słowach tych jest uzasadniony, pokaże niedaleka przyszłość.

* * *



Rudolf Arnold Nieberding, sekretarz stanu Rzeszy niemieckiej, który odpowiadał w parlamencie w imieniu rządu na interpelacyą polską w sprawie strejku szkolnego.

Gen. von. der Launitz.

Prasa petersburska rozpisuje się szeroko o znaczeniu i działalności zabitego naczelnika m. Petersburga von der Launitza. W opisach tych stale powtarza się twierdzenie, że generał von der Launitz był jednym z najbardziej wpływowych ludzi, powstrzymujących rozwój reform, a w ostatnich czasach działających w kierunku reakcyjnym.



Generał von der Launitz.

W systemie wprowadzenia represyi zamordowany odegrał ważną rolę.

W kołach biurokratycznych zapewniają, że zabójstwo gen. von der Launitza powstrzymało zamierzone zniesieni stanów wyjątkowych, twierdzeniu temu jednak opinia publiczna nie daje wiary.

Przed lud!

Przed lud, przed lud
Ze światła jasną smugą,
Ze szczęścia złotą strugą,
Wy, którym dany cud:
Potęgi, wiedzy mienia.
Przed lud, przed lud!
By wielkich nędz, zwątpienia,
Skończony został trud!
Do chat, do chat!
Gdzie chleb w popiele czarny,
Gdzie pracy pot ofiarny.
Gdzie w bólu zgięty brat
Krzyż dźwiga swój codzienny...
Do chat, do chat!
Tam nieśmy siew promienny,
W ten szary, biedny świat!

Przed lud! przed lud!
Z harf naszych pieśnią brzmiącą,
Z pochodnią światła lśniącą,
By pierzchły: grzech i głód...
By pierś rozegrzać skrzepłą,
I wieków otrząść brud,
Skrę światła rzućmy ciepłą,
W przyszłą potęgę — w lud.

Anna Neumanowa.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 3 lutego 1018 Bolesław W. zawiera traktat pokoju z Niemcami w Budyszynie. — 1280 pobicie Lwa, księcia ruskiego, pod Gośliczem. — 1633 Władysław IV przybywa na koronacyą do Krakowa. — 1793 protestacya przeciw wkroczeniu Prusaków do Polski. — 1831 sejm uchwala formacyą legionów litewsko-ruskich.

Dnia 4 lutego 1339 sąd na Krzyżaków w Inowrocławiu. — 1454 Prusacy oddają się pod opiekę Polski przeciw uciemiężeniu Krzyżaków. — 1633 pogrzeb Zygmunta III. — 1710 sejm w Warszawie po wypędzeniu Szwedów.

Dnia 5 lutego 1189 synod w Krakowie. — 1657 uchwała sejmowa względem powiększenia wojska kwarcianego.

Dnia 6 lutego 1296 zabicie w Rogoźnie Przemysława. — 1582 Polacy ustępują z pod Pskowa. — 1633 koronacya Władysława IV. — 1831 manifest cara Mikołaja z powodu detronizacyi.

Dnia 7 lutego 1580 Stefan Batory zaprowadza cenzurę na dzieła historyczne. — 1596 sejm nadzwyczajny. — 1707 zjazd we Lwowie ogłasza za nieważną abdykacyą Augusta II.

Dnia 8 lutego 1576 Stefan Batory zaprzysięga pacta conventa. — 1698 prymas Radziejowski robi zjazd w Łowiczu. — 1813 śmierć Tadeusza Czackiego. — 1831 sejm tworzy ustawę konstytucyjną.

Dnia 9 lutego 1135 zrabowanie Wiślicy przez Rusinów. — 1454 zaślubiny Kaźmirza Jagiellończyka z Elżbietą Austryacką. — 1649 bitwa z Kozakami pod Mozyrem.

Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody, pracą wszystko się utrzymuje, kwitnie i bogaci.

* * *

Można nic więcej nie posiadać nad pracę, umiarkowanie, rzetelność, a jednak stać wysoko w szeregu ludzkości.

Zagadka.

Ułożył p. S. Prusinkiewicz z Ostrowa.

Pierwsza z drugą określenie
Jakich gości kto posiadał,
Bo nie chodzi tu o mienie
„Takich lubię“ będzie gadał.
Znak przystania znaczy *trzecie*
Nie tu w Księstwie używane,
Lecz w Toruniu dobrze wiecie,
Jest zbyt często powtarzane.
Czwarte rzeka wspak czytana,
Która wabi swym widokiem,
Całość zaś oznacza pana,
Co może spijać szampana,

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 9-go lutego r. b.

Rozwiązanie szarady z nr. 3-go:

Tabakiera lub też **Tabakierka.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania*: pp. Maryan i Ludwika Mściszewscy, K. Wrzesiński, Galińska (Jeżyce), B. Świtańska (Wilda), Pelagia Woźniczka, Czesław i Ziemowit Bobowscy, Z. Świerkowski, M. Maliński (Wilda), *z prowincyi:* pp. Maryan Budzyński, J. Zwierzycki, B. Mroczkowski i Roman Taborski z Gniezna, Pelagia Ulotna i Stanisław Gaworzewski z Witkowa, S. Opończewska i L. Stachowska z Grodziska, Witold Prusinkiewicz i Alojzy Józef Gawrych z Ostrowa, Józefa Woźniak z Wrześni, J. Dalkowski z Czempina, H. i J. Kornaszewskie z Strzelna, I. Ewicz z Swarzędza, Helena Feld z Ponieca, S. Rychlicki z Krotoszyna, W. Weychan ze Stęszewa, K. Poszwiński z Pniew, St. Mikołajczak ze Śremu, B. J. Świderski z Leszna, Helena Werda z Wągrówca, H. Dobieliński z Rawicza, M. K. Kawczyńska z Kcyni, W. Zakowski z Główny, J. Szałkowska z Kozłowa, M. Zielińska z Więzowna, M. Zielińska ze Sarbinowa, pod Żninem, T. Iwaszkiewicz z Lipnicy, J. Gawrych z Młynkowa, T. Bogacki z Rzetni, Trzpiotek z Przybysława pod Komorzem. S. i K. Pietrzak z Małego Gutowa pod Wrześnią, J. Szperkowski z Pożarowa O. Rekowski z Modliszewa, A. Tuchołka z Golinia; *z Prus Zachodnich*: pp. S. Urbański z Lisewa, Ed. Kleina z Subkowów, *z Prus Wschodnich*: pp. Jan Litwiński z Brzuszcz, Józef Foss z Smolnik; *z Górnego Śląska* pp. P. Jagodziński z Oleśnicy, A Cwołek z Lipin, A. Skaba z Świętochłowic; *z Galicyi:* pani Marya Zborowska z Andrychowa; *z obczyzny:* pp. Z. Dunajska z Berlina, H. Mąkowska z Wolmirsleben, I Niemyt z Hochemmerich, I. Piotrowicz z Alstaden, K. Spychałowicz z Château des Bordes, par Lailly (Loiret).

Nagrodę otrzymali: pp. Witold Prusinkiewicz z Ostrowa, Melania Zielińska z Sarbinowa pod Żninem i K. Spychałowicz z Château des Bordes.

---

2)

Tadeusz Rejtan.

Wspomnienie historyczne.

(Ciąg dalszy.)

Niejeden raz zdarzało się tak, że gdy Polacy przystępowali do wyboru posła, to moskiewscy żołnierze stali przy drzwiach i kolbami grozili tym, którzy nie chcieli dawać głosu na wskazanego przez nich człowieka.

W Nowogrodku jakby jednym głosem bracia Litwini wybrali Tadeusza Rejtana posłem.

A niejeden z oddających głosy, ani przeczuwał, ani wiedział jak wielkim czynem wybór ten złamie się, jak złotymi głoskami imię tego człowieka zostanie zapisane na karcie historyi Polski.

Szczęśliwa Litwa, iż miała takiego syna... szczęśliwa Polska, iż może dziś jeszcze przypominać swoim dzieciom tego Bohatera i mówić: — oto patrzcie *Wielki człowiek!*

4.

Sejm otwarty.

Biją dzwony...

W kościele tłum ludzi.

Jest to nabożeństwo na rozpoczęcie sejmu, wielkiego sejmu, sejmu, który ma zdecydować, czy wolno trzem potencyom zabierać po kawałku Polski, czy nie wolno. Czy mają się cofnąć wojska obce, czy też nasi mają się skłonić przed siłą zaborców.

Jest to kwietniowy, piękny dzień, 19-go kwietnia 1773 roku.

Warszawa z niepokojem czeka i drży na myśl, co się stać może, jeśli posłowie podpiszą rozbiór.

Stu dwu posłów zebranych, wychodzi z kościoła, a nie wszyscy idą smętni, zadumani, zbolali cierpieniem Ojczyzny.

Wielu jest takich, którzy już dużo dukatów moskiewskich mają w kieszeni i — myślą o tem, jak się w Warszawie bawić będą wesoło.

Idą do sali sejmowej i czekają na rozpoczęcie obrad.

Gdzież król? gdzież ten, co ma w ręku berło i zwie się ojcem narodu?

Cóż on powie dzisiaj posłom przysłanym z wszystkich strom kraju?... Czy mu oczy zgasną od łez i usta zbledną z bolu?

Niema króla!

Uciekł bocznymi, ukrytymi schodami, bo bał się stanąć oko w oko w obec posłów kraju całego.

Uciekł, bo nie miał odwagi przemówić na rozpoczęcie obrad sejmowych, bo spodziewał się, iż może wstrzymać zanadto gorzkie wymówki lub zapytanie: — dlaczego pozwala by Polskę krajano?

Więc Stanisław August Poniatowski schował się w swoich komnatach, a na sali sejmowej zabiera głos Poniński.

— Moi panowie! grono pewnych obywateli zawiązało konfederacyę czyli związek, ażeby czuwać nad sejmem. Konfederacya ta wybrała dwu marszałków, Marszałkiem Korony jestem ja obrany, Marszałkiem Litwy Radziwiłł.

— Co to jest? — woła na to żywo Tadeusz Rejtan, poseł z ziemi Nowogrodzkiej. — Nikt nie może wybierać marszałka, tylko sejm i my tu zebrani rozpoczniemy od tego, iż marszałków wybierzemy.

— Nie znamy żadnej konfederacyi, — odpowiadają inni. — Nie znamy marszałków nam narzuconych, nie wybranych przez nas. Chcemy rozpocząć sejm jak należy, wedle praw uczciwych i sprawiedliwych.

Rejtan zaś woła:

— Depcą i gwałcą prawa wolności narodu na każdym kroku, chcą i tu przy rozpoczęciu sejmu zdeptać prawa obywatelskie.

A sąsiad Rejtana szepce mu:

— Nie dziw się bracie, wysłannik rosyjski Stackelberg długo nad tem pracował, ażeby Poniński tak sejm rozpoczął. Wszakże słyszałem, iż rosyjscy urzędnicy grozili nawet tem, że na Sybir wyszlą każdego, kto nie uzna Ponińskiego Marszałkiem.

— Ja słyszałem, że Poniński i Radziwiłł przysięgę marszałkowi złożyli — szepce inny poseł.

Lecz Rejtan nie szepce, ale odważnie i głośno woła:

— Poniński jest znanym zdrajcą kraju. Poniński to sprzymierzeniec wrogów. My nigdy na to zezwolić nie możemy, ażeby on sejmem kierował. Jeżeli złożył przysięgę, nie ważną jest ona, bo była wymuszona.

Pan Poniński nieco zmieszany, usta mu trochę bledną, ręka drży.

W sali niepokój rośnie. Posłowie dzielą się na grupy. Jedni stają po stronie Ponińskiego, drudzy około Rejtana grupują się...

Przeszła chwila.

Poniński bierze laskę marszałkowską w rękę i ogłasza:

— Otwieram sejm — posiedzenie rozpoczęte.

Na to dzielny i odważny Rejtan chwyta laskę litewskiego marszałka i woła:

— Jestem tak samo marszałkiem jak Poniński, bo mnie nikt tak samo jak jego nie wybierał.

— Ja przerywam dzisiejsze posiedzenie — mówi Poniński — zapraszam wszystkich na jutro rano o 9-tej.

— Ja otworzę posiedzenie dzisiaj po południu o 1-szej — mówi na to Rejtan... — zapraszam panów posłów do pracy...

— — — — — — — — — — — — — — —

— I za chwilę głucha cisza zaległa salę sejmową. Wyszedł Poniński, a za nim posłowie, którzy się bali sprzeciwić woli jego.

Wyszedł Rejtan, a za nim podążyło nie wiele tych, którzy chcieli jeszcze ratować Ojczyznę.

Na tem skończyła się praca pierwszego dnia, na tem polegał początek pracy sejmu, który miał protestować przeciw krzywdzie i czuwać nad tem, ażeby nie chodziła zdrada po ziemi polskiej...

Rano grały dzwony kościelne pieśń zwołującą posłów na sejm... ale po południu nikt do sali sejmowej nie przyszedł...

Zaczęło się coś chmurzyć nad czołami posłów, jakiś cień niezgody i zdrady począł się zbliżać do ścian wielkiej pustej sali.

Jadwiga z Łobzowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

11)

GADY.

POWIESC Z XIV WIEKU.

— Jam-ci roku zeszłego — mówiła inna — do wiadra zajrzała i takiegom narobiła krzyku, że o mało wieś się cała nie zbiegła.

— Co ci się pokazało — co, co? — tu i tam ozwały się głosy..

— Nic — bom zestrachała się okrutnie.

— Nic — i strach? — zaśmiała się Helżbietka.

— Nie całkiem nic! ale już woda mętnieć zaczęła, żem własnej twarzy dostrzedz nie mogła — wtedy w krzyk!

— Dziękuj Panu Jezusowi — odezwała się Sokula — że ci wtedy niestwora jakaś nie ukazała się, bo można było zemrzeć ze strachu, albo padaczki dostać. Dla tego mówię i Elżuni, niech siebie wyprobuje, bo wielkie nieszczęście przyjść może, gdy woda mętnieć zacznie, a ją nieprzemożony lęk chyci.

— Nie bójta się, Sokuleńko! — nie bójta się o mnie!... — śmiała się Helżbietka. — A ty, Wiesno — zwróciła się do dziewczyny, która już wodę mętniejącą widziała — jeno mi większej ochoty dodałaś, i już mnie nic nie zatrzyma, bym nie ostała sama, a oczu do wróżebnego wiadra nie zapuściła. Tarczę abo miecz wosk mi wciąż pokazywał, teraz zjawisz się rycerzu mi przeznaczony, a musisz piękny być, jako słonko wiosenne, a musisz silny być, jako mojego tatula ramię a taki mocny i niepokonany, jako tron Łokietkowy, jako wawelski mur!... Zjaw się, rycerzu mój — zjaw się marzenie!... W zbroi srebrzystej, w hełmie złocistym, piękny jak sen... jak sen!...

Mówiła tak, jakby widzenie jakieś stawało już przed nią. Jagody zaróżowione miała, pierś dyszącą, przez wpół rozchylone usta przebiegały płomyki ognia...

— Widzisz, jak jej korale palą!

— Jak piersią dysze!

— Jak sercem gra!...

Takie szepty biegły dokoła.

A Jewka czuła dreszcz...

Sokula dała znak dziewuchom, by precz poszły. Wysunęły się tedy zaraz za próg, do izby przyległej, szepcąc jeno pomiędzy sobą:

— To ci śmiała!

Helżbietka bujne warkocze włosów na plecy odrzuciła, pochyliła się lekko nad wiadrem wróżebnem, w którem dojrzała odbicie swojej postaci i oczy czarne i usta uśmiechające się. Serce jej biło mocno, pewna była, że marzony rycerz się pojawi, on sen dusz dziewiczych, ona promienna mara nocy Andrzejowych.

Sokula usiadła na skrzyni malowanej w kwiaty wzorzyste i odezwała się do Elżuni szeptem tajemniczym:

— Patrz! jeno nie trwóż się, choć woda zmętnieje, choć ci się w niej wid ukazywać zacznie; a gdy się pokazywać zacznie, możesz mi mówić, jako ci się on przedstawia.

Cisza — na dworze szumi wichr i dziwnie zawodzi, z ogniska wylecą czasami skry ogniste — i zgasną. Z poza drzwi, kędy ukryły się dziewczęta, słychać cichy szept ich rozmowy. Helżbietka w wiadro patrzy, na nią patrzy Sokula, przejęta ważnością chwili. Na dworze pies szczeknął i rzucił się zajadle, głucho zadzwonił miecz, tak głucho, jakby szczęk ony szedł z pod ziemi. Zapatrzona w wiadro wody Elżunia nie słyszy psa szczeknięcia, szczęku miecza, jeno Sokula wzrok obróciła ku drzwiom, do sieni wychodzącym.

— Woda mętnieje — szepnęła Helżbietka.

Od sieni drzwi się cicho otwarły — ktoś wszedł. W piersi Sokuli dech się zaparł, o mało w głos nie krzyknęła.

Wszedł rycerz w zbroi pełnej, młody i piękny, a znać było po postawie całej, że silny jako młody tur. Srebrzysty pancerz na nim, hełm pozłocisty na głowie, u hełmu trzy pióra strusie, przybite gwoździem brylantowym. Jedno z tych piór świeciło barwą purpurową. Z pod złocistego szyszaka wypływały bujne kędziory włosów i na ramionach w bogate kręgi się wiły, a jasne były jak len. Oczy miał, ni to gwiazdy dwie, błękitom ukradzione, z pod wąsa uśmiechały się dwa koraliki, świecące równym różańcem pereł. Nie ze strachu, lecz z podziwu chyba oniemienieby przyszło, bo jeśli duchem był, to czarodziejskim duchem. Zatrzymał się chwilę w drzwiach, piękny i uśmiechnięty — na zapatrzoną w wiadro wody Elżunię wpatrzony, i oto zrobił krok cichy, szybki....

Podbiegł — i za dziewczyną stanął.

Sokula za skrzynię się osunęła. szepcąc trzęsącemi się usty: „Wszelki duch Pana Boga chwali!‟

— Woda zmętniała — odezwała się znowu Helżbietka.

Rycerz pochylił się przez ramię.

— Sokulo!... czar się spełnia! — zawołała głosem stłumionym. — Sokulo! z wody wyjrzała twarz miłego. — Jaki on śliczny, Sokulo!... O, Jezu!... duch jest przy mnie.... Ale się nie boję — nie — nie!... Za rękę mnie wziął... kibić ogarnia — a takie ma serce bijące!....

— Bo kocha — rycerz się ozwał.

— Już szepce, Sokulo — już szepce!... O, Jezu!.. do siebie mnie tuli... Ale się nie boję — nie — nie!...

— Chcesz mnie mieć?

— Znów szepce!

— Chcesz mnie mieć? — powtórzył rycerz.

— Jużci, że chcę — odpowiedziała.

— Miłujesz?

— O, Jezu!....

— Pocałuj!....

— Tchu mi brak.

— Po—ca—łuj!...

Tu się pochylił i w usta dziewczyny jak wąż się wpił.

Elżunia krzyknęłaby może, bo usta jak ogień gorące były, ale taka słodycz z nich się wylała, taka rozkosz, nieznana dotąd, wzdłuż ciała dziewiczego pobiegła, takie omdlenie i zapomnienie takie, że już nie patrzyła w zmąconą wodę wiaderka, jeno, olśniona zjawiskiem, oczy podniosła i już sama podgarnęła się do ducha-rycerza. A on jej ręce wziął i niemi szyję swoją opasał i bez umiarkowania, bez pamięci całował, do ostatniego zaparcia się tchu w piersi.

— Jeszcze?... — szepnął.

— Jeszcze....

Odetchnęli — chwilę tylko.... i znowu, jak płomienie dwa, zbiegły się usta dziewczyny i rycerza.

— Przypatrz się mi — szepnął — bo ja cię po wiek nie zapomnę.....

— I ja!....

Zajrzał jej w oczy.

— Miłujesz?...

— Miłuję!

— Będziesz pamiętać?....

— Będę — odpowiedziała nie pamiętająca już nic.

Usunął się duch-rycerz, i cofając się w ukłonach zniknął za drzwiami. Wtedy krzyknęła:

— Sokulo!....

Ale nie strach, nie trwoga były w krzyku onym.

Sokula skoczyła i zza skrzyni wybiegła, z izby sąsiedniej dziewczęta wypadły, przestraszone, blade, rozszerzonemi źrenicami rozglądając się dokoła.

Elżunia stała na środku świetlicy, pierś jej oddychała szybko, na ustach miała pocałunki nie zwiane, rumieńce żywe na jagodach, jakby rozbudzona ze snu, który jeszcze kołysał się nad nią i tulił w ujęciu marzącem. Nagle wstrząsnęła się — odetchnęła rozkoszą jakąś..... Na ustach zawisnął uśmiech, jak motyl na róży — i skoczyła w ramiona starej Sokuli.

— Mój ci on jest!.... mój — mój — mój! — zawołała.

Wtedy dopiero strach opuścił dziewuchy wszystkie, otoczyły ją kołem spójnem i jedna przed drugą rozpytywać zaczęły — a taki gwar się podniósł i kotłowanie się i hałas, że przez sień, śpiący pan Marek, obudził się i z uśmiechem szepnął do siebie:

— To ci się rozhulały dzierlatki!... a miejże je w swej opiece święty Andrzeju!...

— I co? i co?.... — rzucały dziewczęta pytania. — Był duch?

— Był — był!

— Rycerz?

— Jużci, że rycerz!...

— A jako-że ci się w wodzie przedstawił?

— Czar!....

— Czar?... — zapytały.

— A jakie usta gorące miał! — a jak całował... Jezu!....

— Duch? — zawołały zdziwione.

— Jużci, że duch! przeciech-bym żywemu tak opasać się ramieniem nie dała; przeciech-by mi na to nie pozwolił wstyd.

— A ty co?... a ty co?... — pytała jedna przed drugą.

Rumieńce silne zapaliły się na jagodach Helżbietki...

— Ja także!.. — odszepnęła.

— Jejej!.. taką straszną marę całować!

— Nie straszna ci to mara była!.. anioł niebieski — powiadam wam... anioł niebieski!... Gdybyś ty go widziała, Sokulo moja!.. gdybyś ty go widziała!

Stara podrapała się w głowę.

— Nie gadaj dziadziowi nic, bo wróżba na marneby poszła. Cichoj ta i wy dziewuchy o tem wszystkiem, jeżeli chceta, by wam języki nie poodpadały.

Niejedna teraz chciała wzrok do wiadra zapuścić — ale kur zapiał i Sokula rzekła, że wróżb już nie może być. Dziewczęta pożegnały Elżunię i odeszły a ona długo po środku izby stała, szepcąc do siebie:

Rycerzu mój! złocisty śnie mój!... a kiedyż to mi się już nie marą pojawisz?....

Jewka smutna była i zadumana.

Święca.

Wiatr nie przycichał — pewnikiem nawieje śnieg; chłód się wzmagał — pewnikiem kre mróz rozpocznie panowanie. Z północy podniosła się chmura i wałem czarnym nad widnokręgiem stanęła.

Od Podkamienia ku Jasińcowi pędziło jeźdźców trzech. Na czoło wysunął się człek stary i rwał naprzód na roslym, karym rumaku, a widać było, że drogę znał doskonale, nie zatrzymywał się, nie rozpatrywał, walił prosto przed siebie, kiedy niekiedy jeno na lewo to na prawo skręcając. Trochę tam światła dostawało się ziemi z gwiazd niebieskich, które obficie uhaftowały firmament, nie do tyla jednak, by można było rów dojrzeć albo inną przeszkodę jaką, on zaś każdy niebezpieczny dół ominął, każdy kamień objechał, zwracając się przedtem jeno z ostrzeżeniem do jadących za nim rycerzy. Siwą brodę rozwiewał mu wiatr i sumiaste wąsiska czesał. Ubrany był w kaftan, szarym wilczem poszyty; pod kaftanem pobrzękiwała zbroja, u pasa miecz dzwonił, a niżej gdzieś klekotało toporzysko żelazne. Futrzana czapa bez piór żadnych i ozdób okrywała czoło starego rycerza; brwi gęste, siwe, usuwały się na oczy prawie, twarz suchą, kościstą miał, a surowego wyrazu, jako u tych, którzy wiek długi na służbie żołnierskiej strawili, i więcej gorzkości niż słodkości w żywocie swoim zaznali.

Inaczej całe wyglądało dwóch rycerzy, którzy za nim w cwał gonili. Noga w nogę, strzemię w strzemię sunęli tuż przy sobie kłusem wyciągniętym. Obaj młodzi, urodni i bardzo piękni; jeden z nich z lat prawie pacholęcych nie wyszedł jeszcze, twarz, jak u dziewki, gładką miał, i gdyby nie barwny a obcisły strój pazika, snadnie możnaby było co do płci jego się omylić, bo nawet włos trefiony w bujne kędziory na ramiona mu spływał, a taki miękki był i połyskujący jedwabiście, że wiatr, dotykając go, hamował ostrość swoją i igrał jeno pieściwie, jakby się onem dotknięciem lubował. Nie pancerz na nim był, jeno koszulka druciana — pancerz zaciężyłby pacholęciu onemu; koszulka uwydatniła jego postać wiotką. Przez ramię przerzucał się płaszczyk z jasnej czerwieni, malutki kołpaczek czaplem piórem nad czołem wystrzelał, u boku zwisał mieczyk pacholęcy, który nie na wieleby się zdał w przygodzie ciężkiej. Przewieszona przez ramię, na wstędze złocistej wisiała luteńka mała — wiatr o jej strunę potrącał i dzwonił dziwną pieśń. Nie mieczyk, lecz ono narzędzie gędziebne mówiło o powołaniu pacholęcia. Dziarski jednak był konik pod onym rycerzem-śpiewakiem. Ani razu od roślejszego od siebie towarzysza nie odstał — pomykał strzałą z fantazyą okrutną.

Młodzieniec drugi był już prawym rycerzem, w zbroi srebrzystej, w hełmie złocistym, u którego wiały trzy pióra strusie, przybite gwoździem brylantowym. Jedno z nich świeciło barwą purpurową. Uśmiechał się, patrząc na pazika swojego, który kiedy niekiedy konikowi swojemu ostrogę dawał, by o cal jeden nie odstał od rumaka czystej krwi arabskiej, na którym unosi się rycerz o trzech piórach strusich.

— Dotrzymujesz mi dzielnie, Orliku!.... — ruszając głową rycerz się ozwał.

— Wżdy orlem zamyślam być! — odpowiedział pazik.

— Chwali ci się fantazya taka; Bóg da, że na prawego rycerza wyrośniesz. Ale jakże wtedy będzie z pieśniarskiem powołaniem twojem?

— Miecz i pieśń nie posporzą się z sobą.

— Prawdęś rzekł!... niby kochankowie mogą żyć w miłości a zgodzie. Chropawy dąb powojowych nie odtrąca pieszczot; żelazna pierś rycerza nie traci nic z mocy i wdzięku, gdy do niej skroń swoją wiotką przytuli dziewczyna.

Orlik spojrzał na mówiącego.

— Mi się widzi że jeno wdzięku i mocy wtedy nabiera!... Wasza dostojność może przykładem służyć — takiś silny, taki piękny!...

— Dziś jeno?

— Silniejszy i piękniejszy — powiedzieć chciałem.

— Jak dziwnie luteńka twoja dzwoni — zagadał rycerz.

— Wasza dostojność myśli, że wiatr gra na niej, a toście wy tak zagrali!...

— Orlik — co tobie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Czytajcie i abonujcie „Pracę."

